Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 35 (1823) • 29 sierpnia–4 września 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Dumny i uprzedzający

str. 9

DON NAWROT

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 691a71369b

WOJNA DOMOWA

W ramach pokazywania, kto ma większego, tfu, większe ego, Nawrocki zawetował Tuskowi trzy kolejne ustawy: o panelach fotowoltaicznych, o Ukraińcach i jedną z pakietu deregulacyjnego obniżającą kary za przestępstwa skarbowe, które nie powodują bezpośrednich strat w podatkach (cokolwiek by to miało oznaczać). Największa zadyma zrobiła się oczywiście wokół ustawy „o pomocy obywatelom Ukrainy w związku z konfliktem zbrojnym na terytorium tego państwa". Nawrocki ogłosił, że nie zgadza się na to, żeby wszyscy Ukraińcy mieli dostęp do publicznej opieki zdrowotnej w Polsce, podczas gdy Polacy mogą się leczyć za darmo tylko wtedy, kiedy płacą na NFZ. W tej sprawie akurat zgadzamy się z prezydentem: to absolutny skandal, że w europejskim kraju 2 mln obywateli nie mają dostępu do publicznej opieki zdrowotnej. Tyle tylko, że sposobem na likwidację tego skandalu nie jest odbieranie leczenia Ukraińcom, tylko realizacja art. 68. konstytucji, który stwierdza: „Każdy ma prawo do ochrony zdrowia". I dalej: „Obywatelom, niezależnie od ich sytuacji materialnej, władze publiczne zapewniają równy dostęp do świadczeń opieki zdrowotnej finansowanej ze środków publicznych". Kon-sty-tuc-ja!

Jeszcze większa gównoburza zrobiła się wokół 800 plus dla Ukraińców. Rząd zapisał w ustawie, że nadal ma być dla wszystkich, ale Nawrocki uznał, że należy się tylko tym, którzy płacą podatki w Polsce – co w kampanii wyborczej głosił także Rafał Trzaskowski. Brzmi nieźle, dopóki nie zastanowimy się nad tym, jak wielu Ukraińców sprząta, majstruje i podciera staruszki w polskich domach na czarno. To Polacy nie odprowadzają za nich podatków i składek – i za to mają być karane ukraińskie dzieci? Nie żeby nas specjalnie obchodziły dzieci, ale to jednak nieprzyzwoite. Teraz rząd tłumaczy, że ustawa ograniczająca socjal tylko do pracujących w zasadzie jest już gotowa i po co prezydent robi zamieszanie. Nawet entuzjaści rządu z TVN24 zauważyli, że coś jest nie tak: może trzeba było od razu napisać ustawę, która ten zapis uwzględni? Czy nie szło przewidzieć, że prezydent zawetuje? „Oczywiście były takie zapowiedzi z kancelarii prezydenta, że możliwe jest weto. Ale co innego zapowiedzi, a co innego jednak wtedy, kiedy taka decyzja została podjęta" – wyjaśnia szef Klubu Parlamentarnego Koalicji Obywatelskiej Zbigniew Konwiński (słyszeliście o takiej osobie?). Jasne, wiadomo, na dobrą wolę Nawrockiego Tusk zawsze może liczyć.

I jeszcze kilka błyskotliwych uwag ze strony obecnego obozu rządzącego wobec nowego prezydenta. Adrian Witczak, PO: „Pan prezydent Nawrocki chyba pomylił ustrój naszego kraju, bo nie mamy ustroju prezydenckiego, więc to polski parlament przygotowuje ustawy, natomiast prezydent powinien wetować tylko w sytuacjach, kiedy to zagraża bezpieczeństwu czy zagraża prowadzonej polityce". Otóż nie, prezydent może zawetować ustawę, która mu się nie podoba; konstytucja nie stawia tu żadnych ograniczeń. Jeszcze bardziej ubawił nas Ryszard Petru: „Kampania się skończyła. Ja wiem, że prezydent coś deklarował w kampanii, ale trzeba brać pod uwagę różne aspekty". Podobną złotą myśl wychwyciliśmy z ust publicystów prorządowej telewizji: „Problem sprowadza się do tego, że mentalnie prezydent jest jeszcze w kampanii wyborczej; ten imperatyw, polegający na tym, że realizujemy to, co zapowiadaliśmy w kampanii"… Większość rzeczy, które w kampanii mówił Karol Nawrocki, uważamy za głęboko obrzydliwe. Ale szczerość, z jaką reprezentanci „strony demokratycznej" mówią, że realizowanie obietnic wyborczych jest „problemem", stanowi problem dla demokracji.

Po tym pokazie siły prezydent zawołał sobie rząd na Radę Gabinetową. Rząd poszedł, wyraźnie naburmuszony, tym bardziej że gospodarz zaprosił także dziesiątkę „ekspertów" składającą się głównie z byłych i obecnych parlamentarzystów PiS (oraz posłanki Matysiak z Razem). Premier z prezydentem obrzucali się złośliwościami, ale w tonie wysoce kulturalnym – co było ożywczą odmianą po ostatnich wystąpieniach prezesa PiS nazywającego kontrdemonstrantów „zbiorem śmieci po Służbie Bezpieczeństwa", co zostało uzupełnione obietnicą, iż „te śmiecie, które tu stoją, znajdą się tam, gdzie ich miejsce, to znaczy w więzieniach". Interesująca rozbieżność opinii między dużym i małym pałacem dotyczyła prędkości kolei dużych prędkości. Otóż zdaniem prezydenta powinny one jeździć 250 km/h, bo szybszych nie są w stanie wyprodukować polskie zakłady. Z kolei rząd mówi, że właśnie odwrotnie, polskie firmy zrobią pociągi mknące 350 km/h, a premier „akurat wie, jaki zagraniczny wykonawca jest zainteresowany w tym, żeby był limit 250 km/h" i może to „szepnąć panu prezydentowi na ucho". Czy ktoś mógłby szepnąć na ucho narodowi? Względnie jakiemuś dziennikarzowi w najwyższym zaufaniu? Naprawdę chcielibyśmy wiedzieć.

Chwilę po spotkaniu z Nawrockim premier Tusk w lepszym towarzystwie – z Macronem i Merzem – poleciał poprawić sobie nastrój tam, gdzie go cenią. Czyli w Mołdawii. Albowiem tam „przebiega bardzo jasno front, który zauważamy w innych krajach: prorosyjskie siły polityczne, tam bardzo aktywne, kontra prozachodnie siły polityczne; tam są niedługo wybory". Gdyby coś takiego powiedział polityk chiński albo – boże nieistniejący uchowaj – rosyjski, to byłaby brutalna interwencja w wewnętrzne sprawy niepodległego państwa, ale jak Tusk, to przecież w służbie demokracji. Podczas spotkania z prezydencicą Maią Sandu premier RP ogłosił: „Otwarte serca to dzisiaj, nie tylko tu, w waszym kraju, ale na całym świecie, wielkie skarby. Czasami coraz trudniej je dostrzec, szczególnie w globalnej polityce, możemy się wszyscy od was uczyć tego przywiązania do autentycznych wartości"… Nie mógłby być bardziej protekcjonalny, chyba żeby ją po tyłku poklepał.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



Sierpień 2013 r.

Świętego Hiacynta

I jeszcze o rozprawie. Gdyby Tusk nie podał mnie do sądu, opinia internautów o tym, że bluzga, umarłaby wraz z moimi wyjaśnieniami, iż to był tylko prima aprilis. Kiedy Tusk sprawę ciągnie, umacnia przekonanie, że traci nerwy i zmysł polityczny, że się kończy. Mój proces nie ma wielkiego znaczenia, ale toczy się w interesie PiS niestety.

Kawał pierwszokwietniowy „NIE" dlatego się udał, że ludzie łatwo uwierzyli, iż na trybunie stadionu premier rozmawia z otoczeniem knajackim językiem, takim jak inni kibice, tylko na odmienny temat. Ostatnio publicznie powiedział „pisior", kojarząc zwolennika PiS z siusiakiem. W 1999 r. ogłosił publicznie, że ma zwyczaj kląć. Były współpracownik Tuska poseł Janusz Palikot w książce „Kulisy Platformy" wspomina, że Tusk źle traktuje bliskich współpracowników. Cytuję: „»Knury«" to określenie, którego używał w stosunku do nich najczęściej"; „Na samym dworze funkcjonowała jednak cała minikultura picia wina, żartów, skrótów, dowcipów i klęcia". Wołał premier do otoczenia: „Absolutnie was wszystkich wypierdolę. Mam już dość". I dalej: „Na dworze Tuska przekleństwa są powszednością". We mnie ten styl bycia budzi sympatię do Tuska. Ale autorzy dialogów opublikowanych w „NIE", a rzekomo podsłuchanych i nagranych, czerpali przecież pomysły z rzeczywistości.

Świętej Heleny

Diabeł mówi dobranoc w mieście Sejny położonym gdzieś między granicami z Litwą i Białorusią. Znane jest ono w Polsce tylko z tego, że mieszka tam gwiazda tygodnika „NIE" redaktorka Bożena Dunat. W latach 80., gdy zasiadałem w rządzie PRL, wytoczyłem prywatny proces cywilny o obrazę księdzu z Sejn, który z ambony nazwał mnie Goebbelsem. Kiedy przyjechałem do sądu w Sejnach, cały budynek zapełniony był parafianami, którzy śpiewali pobożne pieśni. Gdy z pomocą obstawy przeciskałem się przez tę gawiedź, ludzie krzyczeli do mnie, żebym nie wsadzał ich proboszcza do więzienia. Jedna baba nawet pocałowała mnie w rękę. Jak się okazało, klecha przedstawił wiernym cywilny proces o to, żeby mnie z tej swojej ambony przeprosił, jako sprawę karną, po której mają go zamknąć, i żegnał się drań z parafianami. W czasie przerwy w rozprawie, gdy mecenasi z Warszawy Taylor i Brych pisali ugodę, wyproszono z sali publiczność. Miejsce rozprawy sprawdzał milicyjny pirotechnik i znalazł duży nóż kuchenny. SB potraktowała to jako ewentualne narzędzie zamachu na rzecznika rządu i ewakuowała mnie do bezpiecznego, czyli bezpieczniackiego, budynku. Śledztwo wykazało, że nóż zostawiła sprzątaczka, która wyskrobuje nim brud z ław dla publiczności. My, Warszawa, naród mamy dobry, tylko tumaniony przez łajdackich księży.

Świętego Jeana Eudes

Ostatnio byłem w budynku Polsatu. Minął mnie postawny mężczyzna, który głosem o sile gigantofonu wrzeszczał coś do trzech podążających za nim drabów. Mijając mnie, krzyknął: – O, Urban! – jakbym był wieżą Eiffla lub żyrafą w zoo. Twarz człowieka wydała mi się skądś znana, myślałem więc: czy to dyrektor tej telewizji, czy gwiazdor jakiś lub poseł-cham. Ale nikt się przecież tak głośno nie panoszy, nawet prymas. Jak się okazało, szedł na występ w TV ten bogaty hodowca papryki, który zasłynął pytaniem do Tuska: „Jak żyć, panie premierze?". Widocznie sam znalazł odpowiedź: głośno i w świetle jupiterów.

Świętego Bernarda

W minione święto wojskowo-kościelne biskup darł w Częstochowie japę z powodu zdjęcia krzyży w trzech pomieszczeniach komendy policji w Radomiu. Prasa nieprzykościelna perswadowała już wcześniej, że krzyże na ścianach urzędów państwowych są ozdobą sprzeczną z konstytucją i konkordatem, który Watykan podpisał. Jednakże krzyż od dawna jest instrumentem kościelnej agresji i łamania prawa, więc awantura o zdarzenie w Radomiu to nic nowego. A jednak klerykalna agresja poszła tu dalej niż zwykle. Kościół uważa, że krzyż winien wisieć w gabinecie komendanta, który go nie chce. Czyli kler chce znaczyć każde terytorium i stosować przymus swojego znaku nad głową funkcjonariusza. Jutro krzyżować zaczną prywatne gabinety. Nawet tajskiego masażu erotycznego. I gdzie nie ma krzyża – eksmisja z mieszkania. Ciekawe, czy na policji w Siedlcach zatrzymanych facetów torturowano pod krzyżem. Nie byłoby to nic dziwnego, bo krzyż to symbol znęcania się.

Świętego Christopera

Kiedy w Kairze wojsko zaczęło strzelać do islamistów, córka Daniszewskiej wraz z naszym wnuczkiem szybko pojechała do Egiptu. Tam armia ją zatrzymała i na swój koszt osadziła w Hotelu Hilton nad Morzem Czerwonym, rzut kamieniem od granicy z Izraelem. 20 lat temu mieszkałem w tym hotelu z Lwem Rywinem. Podobno zachwycona pasierbica od razu wzięła stronę wojska i zamiast leżeć na plaży, odbywa kurs dla snajperów. Zmieni to sytuację nie tylko w Egipcie, ale także w Syrii i Turcji. Dziewięcioletni Janek przybrał imię Abdul i bawi się granatami. Jego ojciec został w Polsce i powinien pomyśleć o zrobieniu sobie nowego synka. Poza tym w naszej rodzinie nuda i nuda jak zawsze.

Świętego Fabrycego

Moje krótkie filmy na YouTube osiągnęły już ponad sześć milionów widzów, a ilustrowane nimi i przez pana Wiatera blogi w Onecie – ponad 1,5 miliona. Razem 7,5 miliona. Podobno należę do internetowych potęg. Jestem też chyba pierwszym, który w wieku 80 lat rozpoczął karierę aktorską. Lepsze to niż dom starców, choć gorsze niż dom publiczny.

I jeszcze Świętego Fabrycego

Daniszewska wpadła we własne sidła. Miała dwa rowery rzadkie, bo trzykołowe – stary i nowy. Obca kobieta zaczepiła ją, gdzie taki można kupić. Daniszewska wzięła ją ze sobą i pożyczyła jej stary, żeby spróbowała, jak się na nim jeździ. Kobieta wsiadła, odjechała i tyle ją Daniszewska widziała. Wiedząc, że każda złodziejka jest gorliwą katoliczką, na tablicy przed kościołem w Konstancinie żona wywiesiła wezwanie: „Panią, która przywłaszczyła sobie trójkołowy rower, proszę o zwrócenie go". Nikt się nie zgłosił, ale teraz gdy tylko Daniszewska śmiga swoim nowym trzykołowym rowerem, słyszy za sobą: „O, to ta złodziejka". Uraża to moją żonę, nie rozumiem dlaczego. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Gang Biedroniaków** to nowy zestaw pluszaków w Biedronce. Nomen omen warszawska policja zatrzymała „Słowika", „Cycka" i „Pieprza".
- Strona pałacu prezydenckiego informuje o niezwykłym gościu w Belwederze – **furczaku gołąbku**. Nawet za Dudy nikt w pałacu nie puszczał furczaków.
- Po dwóch tygodniach ultimatum dla Putina **Trump** daje kolejne dwa tygodnie. Liczę do trzech: raz, dwa, dwa i pół, dwa i siedemdziesiąt pięć…
- **Kancelaria Prezydenta** zapewnia, że nie będzie zgody na podniesienie akcyzy na alkohol. Już od kampanii prezydenckiej wiadomo było, że będziemy się napierdalać.
- **Marta Nawrocka** wystąpiła podczas otwarcia Podkarpackiego Festiwalu Piłki Nożnej Kobiecej. Szkoda, że inauguracja nie odbyła się w Trójmieście.
- **Jezus Chrystus** został królem powiatu makowskiego. Z tej okazji wszyscy mieszkańcy powiatu pójdą niezwłocznie prosto do nieba.
- **Papież** naciska na prezydenta Ukrainy, aby ucichł huk oręża. Według regulaminu działania wojenne należy prowadzić między 8 a 22.

MARTA M.



LISTONOSZ DONIÓSŁ

Tęsknota za Dudą

Nasz nowy pan prezydent od początku swej „misji" doznaje niezwykłego wzmożenia. Najwyraźniej zapatrzony jest w Trumpa jak w święty obrazek. Usiłuje rządzić ponad rządem, a nawet ponad Jarosławem Wszechmocnym. (…) Jest pewnie tylko kwestią czasu, kiedy przestanie się oglądać na swojego niedawnego mocodawcę i będzie realizować swoją własną politykę. A tego Jarosław nie lubi. Obawiam się, że nie tylko napyta biedy naszemu państwu, ale także wywoła wojnę na górze, przy której wszystkie dotychczasowe wojny na górze były tylko zabawą malców w piaskownicy. Ja już zaczynam tęsknić za Dudą. Wprawdzie był nieudacznikiem, ale przynajmniej spokojnym. Jego wychowany na kibolskich ustawkach następca przenosi obyczaje z młodości do prezydenckiego pałacu.

Marek M., Katowice

Po co nam zbrojenia?

Jeżeli Trump dogaduje się tak dobrze z Putinem, to mam takie pytanie: po co mamy ładować tyle forsy w zbrojenia? (…) Skoro Putin zostanie sojusznikiem Trumpa, to przecież już na nas nie napadnie. No chyba że chodzi o to, że Trump wprost zamieni swoje stare sojusze na nowe, a starych sojuszników potraktuje własnym arsenałem.

KS, Warszawa

Samokrytyka

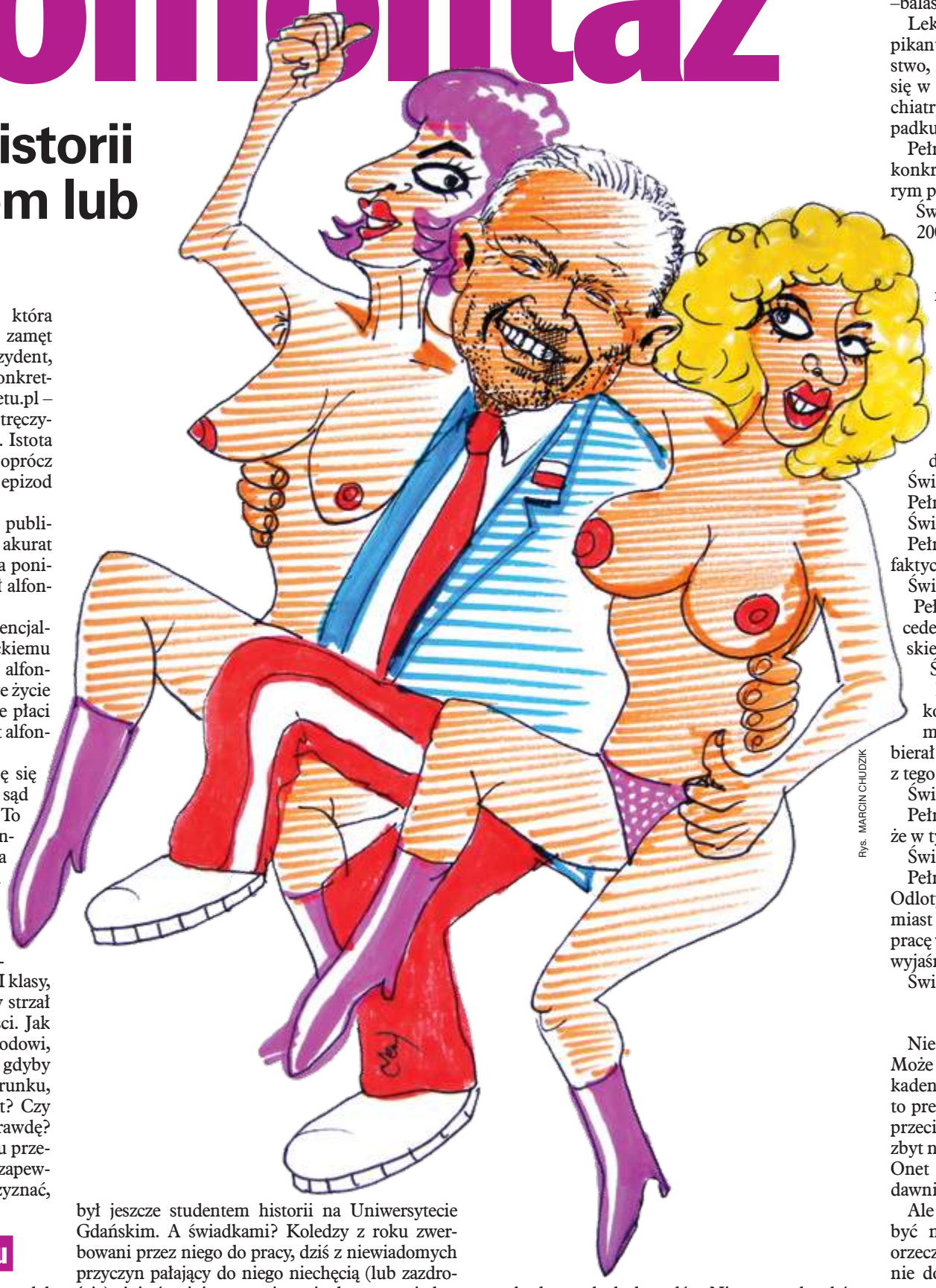
W tekście sprzed tygodnia „Żurek w służbie Kierwińskiego" („NIE", nr 34/2025) „zasługę" pojmania przemytników i migrantów w pościgu samochodowym na polsko-białoruskiej granicy przypisaliśmy błędnie Ruchowi Obrony Granic Roberta Bąkiewicza, a nie formacji w kolorach khaki pod nazwą Bronimy Polskiej Granicy i jej liderowi Dariuszowi Sierhejowi. Obu gentlemanów za pomyłkę przepraszamy, bo tego wymaga od nas etos żurnalisty. Oczywiście trudno jest nam przy tym udawać, że ich działania napawają nas permanentnym obrzydzeniem.

Redakcja

eprasa.pl 691a71369b

Fotomontaż

Jak student historii został alfonsem lub prezydentem



Rys. MARCIN CHUDZIK

Otóż ostatni tydzień przyniósł wieść, która zaparła dech w piersiach i spowodowała zamęt w głowach. Karol Nawrocki, obecny prezydent, będzie walczył z Axelem Springerem – a konkretniej z jego polskimi podkomendnymi z Onetu.pl – o to, czy w czasach młodości zajmował się stręczycielstwem, czy też jednak się nie zajmował. Istota sporu tkwi w pytaniu: czy Karol Nawrocki oprócz tytułu prezydenta nosi w życiorysie także epizod alfonsa z sopockiego Grand Hotelu?

Sugestie o alfonsowaniu znalazły się w publikacji Onetu, która przypadkowo wyszła akurat w kampanii wyborczej. Skutek? Dla Karola poniżający, bo w opinii dużej mniejszości został alfonsem z Grandu.

No i teraz mam dylemat natury egzystencjalno-obywatelskiej. Jako niechętny Nawrockiemu – przyznaję bez bicia – wolałbym, żeby był alfonsem. To by wiele tłumaczyło i ubarwiło nasze życie polityczne. Ale jako obywatel, który jeszcze płaci podatki, muszę jednak woleć, aby prezydent alfonsem nie był.

No i tak sobie myślę, co zrobi sąd. Boję się o mój stan psychiczny, gdyby się okazało, że sąd orzeknie, iż Nawrocki jednak nie stręczył. To będzie poważny cios w psychikę niezwolenników prezydenta. Nagle okaże się, że cała narracja o Grand Hotelu to zwykła legenda miejska, a my zostaliśmy jak dzieci, którym ktoś nagle zabrał wiaderko i łopatkę.

A jeśli sąd nie da wiary Nawrockiemu? Czy orzeknie, że prezydent, posiadacz Orderu Orła Białego i Orderu Odrodzenia Polski I klasy, miał w życiorysie epizod alfonsa? To byłby strzał w stopę dla całego wymiaru sprawiedliwości. Jak bowiem sędzia miałby zakomunikować narodowi, że głową państwa jest stręczyciel? Nawet gdyby materiały dowodowe prowadziły w tym kierunku, czy Polska jest gotowa na taki komunikat? Czy społeczeństwo potrafiłoby przyjąć taką prawdę? I wreszcie: któremu niezawisłemu sędziemu przeszłoby coś takiego przez gardło? W Polsce zapewne łatwiej jest ogłosić upadek banku niż przyznać, że prezydent mógł być sutenerem.

Anatomia medialnego linczu

Ale przyjrzyjmy się tzw. faktom, które podał Onet 26 maja i które będą teraz przedmiotem sądowej debaty. Patrzę na to okiem dziennikarza śledczego, czym się czas jakiś trudniłem – nie w Grand Hotelu, lecz w archiwach, aktach i rozmowach z ludźmi, którzy lubią opowiadać historie przy kawie.

Pod fotomontażem w Onecie, gdzie głowa Karola Nawrockiego (już prezydenckiego kandydata, poważna, patrząca w dal) została wklejona na tle sopockiego Grandu, czytaliśmy dramatyczny lead: „Karol Nawrocki uczestniczył w procederze sprowadzania prostytutek dla gości Grand Hotelu w Sopocie, gdy pracował tam jako ochroniarz – tak twierdzą jego ówcześni koledzy z ochrony, z którymi rozmawiał Onet. Ze względu na obawy o własne bezpieczeństwo nasi rozmówcy chcą pozostać anonimowi. Ale biorą odpowiedzialność za swe słowa – deklarują, że są gotowi złożyć zeznania przed sądem".

I tu zaczyna się piękna partia szachów:

– mamy tezę kategoryczną: nie „podejrzewa się", nie „istnieją plotki", tylko „uczestniczył". To już nie jest język publicystyki, lecz akt oskarżenia w formule dziennikarskiej.

– mamy świadków widmo: twierdzą, że się ujawnią, ale póki co chowają się w cieniu anonimowości. Wygląda to trochę jak w kabarecie: „Nie pokażemy państwu świadka, ale on naprawdę istnieje i mówi rzeczy straszne".

– mamy odpowiedzialność bez odpowiedzialności: „biorą odpowiedzialność za swe słowa", ale na razie przed dziennikarzem, nie przed prokuratorem czy sądem. A to jednak różnica między kawą na mieście a protokołem w sądzie.

– i mamy poczucie zagrożenia: świadkowie obawiają się o bezpieczeństwo, co dodaje sprawie klimatu thrillera, ale jednocześnie osłabia ich użyteczność dowodową. Bo jeśli się nie ujawnią, procesowo nie istnieją.

• • •

Z sądowego punktu widzenia to mina zakamuflowana pod cienką warstwą wiarygodności. Kategoryczne oskarżenia oparte na mglistych wspomnieniach sprzed prawie dwóch dekad, kiedy Nawrocki był jeszcze studentem historii na Uniwersytecie Gdańskim. A świadkami? Koledzy z roku zwerbowani przez niego do pracy, dziś z niewiadomych przyczyn pałający do niego niechęcią (lub zazdrością). A i również przyznający się do czerpania korzyści z nierządu. Czysta poezja absurdu.

Ten zestaw – kategoryczność, anonimowość i fotomontaż z Grand Hotelem – stanie się teraz nie tylko przedmiotem rozprawy, ale i spektaklu. W Polsce rzadko rozstrzygamy na sali sądowej, czy polityk jest alfons, czy nie alfons. Ale skoro już mamy taki przypadek, to lepiej się dobrze przyjrzeć, bo ten proces to podręcznikowa lekcja tego, jak prasa może jedną publikacją wstrząsnąć wyborami.

Problemy z faktami

Z procesowego punktu widzenia nie chodzi nawet o to, czy Karol Nawrocki stał w Grandzie z kluczem do pokoju, czy z telefonem do koordynatora. Chodzi o coś znacznie prostszego: czas i pamięć.

Od rzekomych wydarzeń minęły prawie dwie dekady. 20 lat nie da się przykryć fotomontażem ani podmienić retoryką „mamy świadków". Zaczynają się schody:

– pamięć nie jest twardym dyskiem. Świadkowie Onetu relacjonują, co rzekomo widzieli w 2003, 2005 czy 2007 r. Ale czy ktokolwiek pamięta ze szczegółami, co robił 18 listopada 2006 r., na nocnej zmianie w hotelu? Po 20 latach pamięć przypomina raczej puzzle – część elementów się zgubiła, część doklejamy sami;

– prostytutka czy nieprostytutka? Świadek twierdzi: „Karol wszedł z prostytutką i jej opiekunem". Tylko jak to rozpoznał? Po stroju? Po uśmiechu? Prostytutkę od nieprostytutki odróżnia to, czy świadek ma fantazję i pamięć selektywną. W Grand Hotelu każda kobieta mogła uchodzić za prostytutkę – wystarczyło, że była ubrana lepiej niż studenci historii na bramce;

– anachronizm portalu Odloty.pl. Mechanizm opisany w tekście Onetu zakłada korzystanie z portalu towarzyskiego Odloty.pl. Problem w tym, że serwis ruszył dopiero w 2008 r., a Nawrocki – według świadków – odszedł z Grand Hotelu na jesieni 2007 r. To jak twierdzić, że ktoś zamawiał pizzę przez Glovo w czasach, gdy jedyną aplikacją w telefonie był Snake;

– brak twardych dowodów. Nie ma: rachunków, nagrań, list obecności, raportów ochrony, notatek hotelowych. Jest tylko słowo świadka. Owszem, świadek może być szczery. Ale sąd nie orzeka na podstawie szczerości, tylko na podstawie dowodów;

– presja i anonimowość. Świadkowie chcą pozostać anonimowi z obawy o bezpieczeństwo. Zrozumiałe. W końcu to sprawa z udziałem prezydenta (obecnie) i ludzi półświatka. Ale jeśli w sądzie nie staną z nazwiska i nie złożą zeznań pod rygorem odpowiedzialności karnej, to w procesie ich po prostu nie ma.

Podsumowując: Onet twierdzi, że ma „fakty", a tak naprawdę ma pamięć ludzi po dwóch dekadach. Tylko że pamięć to nie fakt, a wspomnienie sprzed 20 lat to raczej legenda. I w tym właśnie tkwi problem: proces może zamienić się w sądową lekcję historii, gdzie źródłem są już nie kroniki średniowieczne, tylko wspomnienia studentów historii dorabiających na bramce.

Pikantne zeznania, gorzki finał

Problem jest jeszcze taki. To sytuacja wcale nie nowa. Jak wiemy z naszych doświadczeń w tygodniku „NIE", panie z agencji towarzyskich i ich opiekunowie (działający na żywo w warunkach przestępstwa ciągłego) to nie są świadkowie najwyższej jakości. Czasem to świadkowie wręcz defektywni, jakby produkowani w fabryce zeznań z recyklingu.

Przywołam pewną historię. Otóż pani, zadeklarowana i bezapelacyjnie prostytutka, spisała własnoręczne oświadczenie, że obsługiwała znanego działacza pewnej partii i że gotowa jest powtórzyć to samo przed sądem. Brzmiało to jak gwóźdź do trumny opieczętowany czerwoną szminką. Ale potem w sądzie zaczęło zgrzytać:

– najpierw do sądu nie mogła trafić, bo „coś jej wypadło";

– potem się okazało, że „w sumie mogła się pomylić, bo faceci w ciemnościach i stroju adamowym wyglądają bardzo podobnie";

– a już kompletny dramat, gdy na pytanie, ilu ich było, odpowiedziała z rozbrajającą szczerością: „Poza tym tylu ich było, że się miesza".

I wtedy nadjechał prawdziwy walec: adwokaci strony przeciwnej, którzy znaleźli w dokumentacji, że kobieta leczyła się na schizofrenię. W jednej chwili świadek koronny zamienił się w świadka–balast. Proces zamienił się w farsę. Było gorąco.

Lekcja z tej opowieści jest prosta: im bardziej pikantne zeznania, tym większe prawdopodobieństwo, że pod wpływem sądowych pytań zamienią się w sałatkę z domysłów, pomyłek i terapii psychiatrycznej. I niestety wieszczę, że w tym przypadku będzie to wyglądało tak:

Pełnomocnik powoda: Proszę świadka, w jakim konkretnie dniu miało miejsce zdarzenie, o którym pan zeznaje?

Świadek: To było… chyba… w 2005? Może 2006…

Pełnomocnik: O której godzinie?

Świadek: Wieczorem, na pewno wieczorem.

Pełnomocnik: Ilu gości znajdowało się wówczas przy recepcji?

Świadek: Nie pamiętam, tylu się przewijało.

Pełnomocnik: Skąd pan wywnioskował, że kobieta, którą widział pan z panem Nawrockim, była osobą trudniącą się nierządem?

Świadek: No… tak wyglądała.

Pełnomocnik: Czy zna pan jej imię i nazwisko?

Świadek: Nie.

Pełnomocnik: Czy ma pan wiedzę, że ta kobieta faktycznie świadczyła usługi seksualne?

Świadek: Nie, ale… wszyscy mówili, że tak.

Pełnomocnik: Czy zgłaszał pan rzekomy proceder swojemu przełożonemu, firmie ochroniarskiej lub organom ścigania?

Świadek: Nie.

Pełnomocnik: Czy dysponuje pan jakimikolwiek dokumentami, notatkami służbowymi, rachunkami lub potwierdzeniami, że pobierał pan od Karola Nawrockiego wynagrodzenie z tego tytułu?

Świadek: Nie, to były pieniądze do ręki.

Pełnomocnik: Czy ma pan absolutną pewność, że w tym czasie korzystano z portalu Odloty.pl?

Świadek: Tak, pamiętam, że to były Odloty.

Pełnomocnik: Pragnę przypomnieć, iż portal Odloty.pl rozpoczął działalność w 2008 roku, natomiast pan twierdzi, że Karol Nawrocki zakończył pracę w Grand Hotelu na jesieni 2007 roku. Proszę wyjaśnić tę sprzeczność.

Świadek: (milczenie)…

• • •

Nie daję dużych szans moim kolegom z Onetu. Może jedynie nadzieję, że proces potrwa dłużej niż kadencja Nawrockiego i kiedy zapadnie wyrok, to prezydentem już nie będzie. Bo jeśli będzie, to przecież nikt do więzienia nie pójdzie. Byłoby to zbyt niebezpieczne, biorąc pod uwagę, że – jak sam Onet donosi – w zakładach karnych są już i tak dawni koledzy pana Karola.

Ale skutki finansowe dla Axela Springera mogą być naprawdę srogie, patrząc na obecną linię orzeczniczą sądów. Zasądzane kwoty za naruszenie dóbr osobistych potrafią iść dziś w miliony proporcjonalne do kondycji finansowej wydawcy.

Spójrzmy na twarde dane: w 2023 r. Ringier Axel Springer Polska osiągnął przychody rzędu 637,7 mln zł, ale zysk netto wyniósł jedynie 27,3 mln zł. To zaledwie 4,3 proc. rentowności. Gdyby też teraz odwiedzili spółkę chłopcy z izby skarbowej, trudno będzie im wytłumaczyć, dlaczego przy przychodach ponad 630 baniek na koniec zostaje ledwie 27 z hakiem.

Mógłbym zakończyć morałem w stylu „uważaj, kogo nazywasz alfonsem, bo możesz sam wylądować z pustą kieszenią". Ale skończę inaczej.

Polska polityka przez ostatnie trzy dekady żywi się hakami jak telenowela trupami: „wakacje z agentem", „dziadek z Wehrmachtu", „zamach smoleński", „trup z szafy" – narracja PiS-u w najczystszej formie. I właśnie ta metoda nie jest i nigdy nie będzie sposobem na jego zwyciężenie.

Zło pokonuje się siłą instytucji, sprawnym państwem i skuteczną polityką, a nie licytacją na plugastwa. Gdyby Churchill próbował walczyć z Hitlerem, budując własne obozy koncentracyjne, nigdy by wojny nie wygrał. Bo nie da się zwyciężyć bestii, stając się jej lustrzanym odbiciem.

ROBERT JARUGA

eprasa.pl 691a71369b

Sprawdza się stare porzekadło, że rząd klerowi oka nie wydziobie

Świeckość ze świeczką szukana

W styczniu ministra edukacji Barbara Nowacka podpisała rozporządzenie ograniczające nauczanie religii w szkołach publicznych do jednej godziny tygodniowo. Wreszcie – mówili jedni – pierwszy krok w stronę świeckości państwa. Inni protestowali: zamach na prawa rodziców, dzieci, katechetów i konstytucję. Tymczasem tak naprawdę nie zrobiono ani kroku do przodu, ani do tyłu. Zrobiono pół kroku – w miejscu.

Jedna, czyli dwie

Nowe przepisy, które zaczną obowiązywać od września, ograniczają liczbę lekcji religii w szkołach do jednej tygodniowo. Tyle tylko, że nie dotyczy to przedszkoli, gdzie religii wciąż będzie po staremu – dwie godziny. Wszystko zostaje więc w rękach uczniów i ich rodziców. To oni mogą powiedzieć, czego chcą – nogami. Ale nogi są zmęczone.

Już teraz – zanim jeszcze weszły w życie nowe zasady – z lekcji religii rezygnuje większość uczniów szkół średnich i coraz więcej podstawówek. W Warszawie, Krakowie, Gdańsku i Poznaniu lekcje religii w niektórych szkołach nie odbywają się wcale, bo brakuje chętnych. Problemem nie jest więc wymiar godzin, ale sama obecność religii w systemie edukacji – pytanie, którego rząd nie zadał. A mógłby.

Jak pokazuje opinia prawna Biura Analiz Sejmowych, nauczania religii w szkołach może nie być. Konstytucja nie nakazuje jego istnienia – jedynie dopuszcza możliwość, o ile rodzice lub uczniowie sobie tego życzą.

Z taką diagnozą nie zgadza się Kościół. Episkopat nie tylko skrytykował rozporządzenie Nowackiej – on je zaskarżył. Do pisowskiego Trybunału Konstytucyjnego. Trybunał ogłosił, że redukcja godzin religii jest niezgodna z konstytucją. Rząd zapowiedział, że orzeczenia nie wykona. Kościół – że nie odpuści.

W ślad za biskupami poszli katecheci. W Polsce zatrudnionych jest dziś ponad 30 tys. nauczycieli religii. Redukcja godzin oznacza, że nawet 11 tys. z nich może stracić pracę. To głównie osoby świeckie, zatrudnione na pełnych etatach. Nie mają prawa do świadczeń kompensacyjnych. Nie mogą liczyć na osłony. Stowarzyszenie Katechetów Świeckich zebrało pod kościołami pół miliona podpisów pod projektem ustawy, który przywraca dwie godziny religii i etyki w tygodniu i czyni je obowiązkowymi. Projekt trafił do sejmu.

Wypowiedział się i rzecznik praw obywatelskich. Napisał do Nowackiej, że zmniejszenie liczby godzin religii „niepoprzedzone działaniami dostosowawczymi i osłonowymi może rodzić wątpliwości w kontekście zasady ochrony pracy wynikającej z art. 24 Konstytucji RP".

Edukacja bez edukacji

Półkrok w sprawie religii to niejedyna przewina Nowackiej. W szkołach miała też być edukacja zdrowotna – obowiązkowa, rzetelna, systemowa. Miała wreszcie odpowiedzieć na pytania, które dzieci zadają już nie nauczycielom, tylko TikTokowi. Miała chronić przed przemocą, uczyć o ciele, psychice, dojrzewaniu, emocjach i odpowiedzialności. I miała być alternatywą dla wątpliwej jakości wychowania do życia w rodzinie. Nie będzie. Przynajmniej nie obowiązkowo.



Rys. OBYWATEL JANEK

Nowacka, jeszcze niedawno odważna, dzisiaj tłumaczy: „Zdecydowaliśmy, że przedmiot będzie nieobowiązkowy". Rodzice zdecydują. Szkoła zorganizuje. I to tylko wtedy, gdy znajdzie chętnych. A kto zostaje po lekcjach na zajęcia, które nie wliczają się do średniej, nie są obowiązkowe, a w dodatku Kościół ogłasza je publicznie „ideologicznym zagrożeniem"? Tylko najodważniejsi. Albo masochiści.

Gdy edukację zdrowotną zapowiadano, episkopat nie krył swojego niezadowolenia. Już pierwsze projekty programowe oceniono jako „zagrożenie dla tradycyjnego modelu wychowania". Biskupi uznali, że edukacja zdrowotna „narusza prawa rodziców" i „wprowadza ideologiczny zamęt w kwestiach płci i seksualności". Padły słowa o „destabilizacji płci" i „zamachu na rodzinę". W komunikacie KEP napisano, że to „kolejny element ataku na fundamenty wychowania".

Politycy PiS zrobili z przedmiotu kolejny front walki kulturowej. Krzyczano o „seksualizacji dzieci", o „przymusowym genderze", o „indoktrynacji". Debata publiczna zamieniła się w polowanie na czarownice, zanim jeszcze pojawił się podręcznik.

W szkołach nadal króluje religia i WdŻ. W programie – zero konkretów o zdrowiu psychicznym, zero rozmowy o antykoncepcji, o miesiączce, o depresji, o przemocy domowej. Za to są podręczniki, w których uczennice dowiadują się, że „mężczyzna jest głową rodziny, a kobieta jego sercem". I że seks przed ślubem to „grzech z poważnymi konsekwencjami duchowymi".

Ale wycofanie się z pomysłu wprowadzenia obowiązkowej edukacji zdrowotnej to nie tylko decyzja administracyjna. To akt politycznej kalkulacji. A tak naprawdę – kapitulacji.

Bo kasa ma się zgadzać

Obecna władza, idąc do wyborów, obiecywała wszak, że relacje państwo–Kościół będą „przemyślane na nowo". Że rozdział instytucji od państwowej kasy zostanie wreszcie przeprowadzony. Że likwidacja Funduszu Kościelnego będzie jednym ze 100 konkretów. I że wreszcie duchowni zaczną płacić za siebie. Wystarczyło jednak wygrać wybory, by z konkretu zrobił się koncept.

A zamiast likwidacji – wzrost. Fundusz Kościelny, który miał odejść w niebyt, na rok 2025 dostał z budżetu państwa 275,7 mln zł. Czyli o 19 mln więcej niż rok wcześniej. Najwięcej w historii.

A jeszcze w grudniu 2023 r. Donald Tusk zapewniał, że „zmiana systemu finansowania Kościoła ze środków publicznych to tylko kwestia czasu", a prace nad ustawą trwają. Zapowiedział dobrowolny odpis podatkowy. Mówił: „To musi być decyzja wiernych, a nie państwowa". Obiecał: „Jeśli uwolnimy Kościół od środków publicznych, będzie to tylko z korzyścią dla Kościoła".

Tymczasem fundusz – stworzony w 1950 r. jako rekompensata za mienie przejęte przez państwo, mimo oddania mienia z naddatkiem – stał się comiesięcznym zastrzykiem gotówki dla instytucji, która uchodzi za jedną z najbogatszych w kraju.

I oto w styczniu 2024 r. powołano Międzyresortowy Zespół ds. Funduszu Kościelnego z Kosiniakiem-Kamyszem na czele. Cel: likwidacja. Fakty – dwa spotkania przez 16 miesięcy. Zero konkretów. Projekt ustawy gotowy, ale niewpisany do wykazu prac legislacyjnych rządu. Jakby ktoś bardzo nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział, że coś tam jednak powstało.

Zamiast ustawy – analizy. Zamiast reformy – wzrost budżetu. A kulisy jak z Watykanu.

Według przecieków z prac zespołu rozważano trzy warianty: dobrowolny odpis podatkowy 0,5 proc., państwowe gwarancje emerytur dla duchownych na wzór matek czwórki dzieci oraz partycypację Kościołów w kosztach. Brzmi dobrze? Owszem. Ale ani rząd, ani Kościół, ani tym bardziej PSL – nie mają interesu, by to wprowadzać. Najwyraźniej więc zrobiono deal. Taki, którego szczegółów nikt nie wypowie głośno.

Fundusz zostaje, pieniądze płyną, a Kościół nie rozpoczyna wojny totalnej o religię i edukację zdrowotną w szkołach pod warunkiem, że ta ostatnia nie będzie obowiązkowa, a ta pierwsza skończy się na jednej godzinie. Władza zyskała spokój. Za 275 mln zł rocznie.

A Kościół? Uśmiecha się dyskretnie. Ma swoje. Emerytury są, konserwacje kościelnych rynien idą. Do tego bonus: nie trzeba prowadzić wojny medialnej o szkołę.

I tylko podatnik może się poczuć zdradzony. Bo według oficjalnych dokumentów Fundusz Kościelny jest „poza kontrolą państwa". I nie ma żadnej instytucji, która dokładnie wie, ile i na co trafia pieniędzy.

Święty spokój kosztuje. Ale, jak widać, władza gotowa jest płacić zdrowiem dzieci i gotówką. Co miesiąc. Z naszych pieniędzy. Zawsze na czas.

TADEUSZ JASIŃSKI

ETYKA BEZBOŻNA

Kac to pieniądz!

Na kursie kolizyjnym

Matko Boska! Czemu ja taki mało pijący jestem?! Gdybym więcej pił, to nie musiałbym tyle do roboty chodzić. A tak to tydzień w tydzień trzeba jakiś wykład wygłaszać. Ile tak można? No właśnie. Ale jest na to sposób. Wystarczy się napić i pójść do lekarza po zwolnienie na leczenie kaca. I nie trzeba nawet ściemniać, że nas główka boli od nauki albo oczęta pieką od całonocnej adoracji Najświętszego Sakramentu. Normalnie walisz, żeś się wczoraj nawalił i że kac cię męczy. I pani doktor pochyli się z troską i L4 wypisze – na kurację z zatrucia alkoholowego. Takich zwolnień przybywa z każdym rokiem. W zeszłym było ich pięć tysięcy. I to wcale nie zawsze na jeden dzień, bo były i na kilka, a jedno to nawet na miesiąc! O, to był kac gigant!

No dobra, ale tak serio, to jak to jest w ogóle możliwe, żeby za pijaństwo jeszcze wolne dostawać? Sprawa jest dość skomplikowana i ma swoje nieco egzotyczne tło „aksjologiczne". Najprostszy przypadek jest taki, że delikwent ma jeszcze alkohol we krwi i jako osoba nietrzeźwa po prostu nie może pracować. Najczęściej wygląda to jednakże inaczej. Pacjent czuje się na tyle źle, że praca byłaby dla niego udręką, a jednocześnie byłaby nieefektywna. Dlatego zwolnienie jest koniecznością, a przynajmniej jest wskazane. Żeby jednak nie nagradzać za pijaństwo, oznacza się zwolnienie specjalną literką C, żeby pracodawca mógł ci za okres absencji nie zapłacić. Tylko że powyżej pięciu dni już płaci. Czyli jak weźmiesz na 10 dni, to masz tydzień roboczy zapłacony. Dlaczego tak? No bo zakłada się, że kac to jednak nie trwa aż tyle, więc reszta zwolnienia to już bardziej na „choroby współistniejące".

Widać w tym logikę, ale to jest logika na kursie kolizyjnym z etyką lekarską, która niesamowicie silnie chroni pacjenta. Dlatego jeśli pacjent powie lekarzowi, że nie życzy sobie, aby informował on pracodawcę (za pomocą owej magicznej literki C), że zwolnienie wiąże się z nadużyciem alkoholu, to lekarz nie za bardzo ma wyjście. Musi się posłuchać, albowiem

tajemnica lekarska stoi wyżej w hierarchii wartości etycznych w medycynie niż prawo pracodawcy i ubezpieczyciela publicznego do niewypłacania wynagrodzenia niestawiającemu się do roboty opojowi.

Płacenie ludziom chorobowego, aby mogli się pobyczyć w nagrodę za picie, to rozbój w biały dzień. Informowanie pracodawcy – wbrew woli pacjenta – o jego zatruciu alkoholowym to złamanie świętej zasady. I co teraz? Chyba tylko się urżnąć!

Nie ma tu żadnego rozwiązania, które w pełni godziłoby wchodzące ze sobą w konflikt wartości. Lekarz albo musi nalegać na ujawnienie przyczyn absencji pacjenta, pod rygorem niewystawienia zwolnienia, albo musi wziąć udział w wyłudzeniu nienależnych wypłat przez skacowanego pracownika. W świecie idealnym skacowany pacjent oczywiście sam bije się w piersi i jak najbardziej przyznaje się do swych win (moja wina, moja wina itd.), ani myśląc o wyłudzaniu dniówek, tylko że w tym samym idealnym świecie nikt się nie doprowadza do zatrucia alkoholowego. Albowiem jest to świat zaludniony świętymi przestrzegającymi zasad „trzech P": nie pije, nie pali, nie podejmuje przedmałżeńskiego pożycia płciowego. Tylko że na razie go nie ma. Zostaje nam nasz świat, w którym przyznajesz się tylko Bogu, który i tak wszystko wie od stworzenia świata, a i tak przyznajesz się niekonkretnie (bo co to była za „bardzo wielka wina", to już nie mówisz).

Mamy klincz. Niejedyna to sytuacja, gdy w życiu publicznym funkcjonuje usankcjonowana obłuda. Na tym jednakże nie koniec. Sprawa ze zwolnieniami kategorii C wiąże się ponadto z moralną osobliwością naszych czasów, którą można nazwać uniwersalnym protekcjonalizmem. Dziś każdy jest delikatny i wymaga troski. Troski, która może zostać zinstytucjonalizowana w postaci pomocy psychologicznej, a zwłaszcza medycznej. A osoba mająca status pacjenta, osoba mająca tzw. specjalne potrzeby, ma niezbywalne prawo do ochrony. Automatycznie znajduje się na pozycji uprzywilejowanej, a wszystkie jaj wady i winy są natychmiast unieważniane, albowiem jako „słabsza" i „wymagająca pomocy" jest z zasady niewinna i nie może ponosić żadnych szkód ani strat. Byłoby to bowiem w oczywisty sposób sprzeczne z zasadą protegowania, czyli ochrony słabszych.

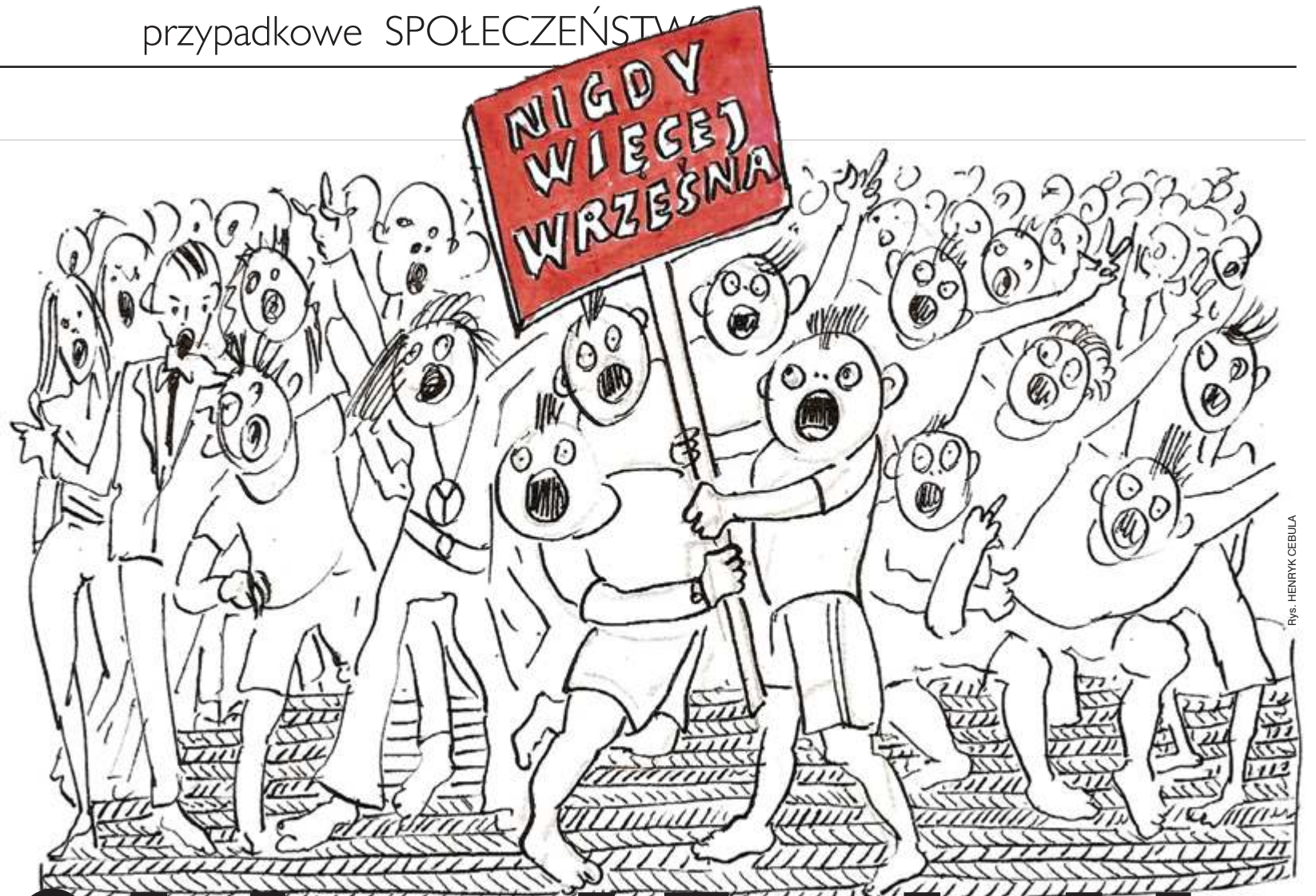

Rys. HENRYK CEBULA

Jeśli stosuje się te zasady bezmyślnie, to mamy w rezultacie taki oto obraz sytuacji. Nachlałeś się, idziesz do lekarza po zwolnienie, a tam dowiadujesz się, że nie jesteś żadnym pijakiem, lecz osobą cierpiącą na chorobę alkoholową. W związku z tym należą ci się względy i przywileje, a przede wszystkim empatia i wsparcie. Idziesz na zwolnienie, a potem na terapię, zaś twój pracodawca ma się przyłączyć do „przymierza terapeutycznego", a nie wywalać na zbity pysk. I tak ze wszystkim. Dziecko źle się uczy? Należy mu się specjalna troska, a nie garowanie drugi rok w tej samej klasie. Chcesz grać w koszykówkę, choć jesteś konusem? Niech trener znajdzie dla ciebie odpowiednie miejsce w drużynie. Jesteś biedny, ale chcesz jechać na zagraniczne wakacje? Niechaj minister turystyki wystąpi z inicjatywą ustawodawczą „bonu turystycznego".

Świat powszechnej miłości, troski i protekcji nie zna czegoś takiego jak ciężki los, nie mówiąc już o odpowiedzialności za siebie i swoje życie. W tym świecie wszyscy „zasługują na to, co najlepsze" i wszyscy „mają problemy", z którymi „nie powinni zostać sami". Ale jak, w mordę jeża, nie masz problemu i nie masz nawet kaca, to lepiej się nie wychylaj, bo możesz sobie napytać biedy!

JAN HARTMAN

eprasa.pl 691a71369b



Rys. HENRYK CEBULA

Szkoła to wielka pierdoła

Nauczycielom i uczniom do sztambucha

1 września to pamiętna i tragiczna data. Z jednej strony rocznica hitlerowskiej agresji na Polskę, brutalnie i bezapelacyjnie kończącej dzieje II RP, z drugiej zaś dla dzieci i nastolatków ponury dzień powrotu do szkoły, czyli agresji dorosłych wobec małolatów. Czekają na nie brzydkie budynki, zmęczone, marnie opłacane i sfrustrowane nauczycielki, przeładowane programy, permanentny wyścig zbrojeń wśród uczniów na koszmarnie drogie i coraz droższe ciuchy i elektroniczne gadżety.

Doceniam niemieckiego pedagoga Ivana Illicha i jego kultową książkę „Odszkolnić społeczeństwo", lecz nawet sporo jego celnych spostrzeżeń – odgórna szkoła ogłupia, warto postawić na oddolne samokształcenie – zostało u nas sprowadzone do kolejnego towaru, tym razem w postaci prywatnych szkółek, których uczniowie są rzekomo na edukacji domowej.

Inna szkoła jest możliwa, ale najpierw przelecę się lotem koszącym po edukacji w słusznie minionym reżimie i szalonych latach 90., która była moim (i wielu naszych Czytelników) udziałem.

Wspomnienia uczniowskiej weteranki

Bardzo lubiłam chodzić do przedszkola, choć dzisiejsza młodzież (włącznie z moją córką) nie chce mi uwierzyć, że w wieku pięciu lat sama chodziłam do przedszkola w pobliskiej wsi. Nawet zimą dzielnie przemierzałam jakieś bite dwa kilometry, aczkolwiek było to dość bezpieczne, bo w połowie lat 80. było niewiele samochodów.

Kochałam przedszkolankę, panią Basię (o ile pamiętam), bardzo ciepłą i puszystą panią, z którą uczyliśmy się robić ludziki z kasztanów i żołędzi, rysować obrazki świecowymi chińskimi kredkami i lepiliśmy zimą bałwana. Pamiętam, jak wygrałam konkurs na najdłuższą obierkę od ziemniaków, choć to miejsce uczyło raczej współpracy, a nie konkurencji.

Ale było to za Jaruzelskiego. W sumie powinnam zgłosić do IPN kolejną zbrodnię komunistyczną, bo rysowałam pociesznego słodziaka Krecika, a nawet – o zgrozo! – ruskiego Wilka i Zająca, choć ja zawsze kibicowałam temu pierwszemu, wiadomo: dziewczynki (nie tylko małe) kochają łobuzów! Pochwalę zatem, że za kapitalizmu zamknięto malutkie przedszkole, do którego chodziła garstka okolicznych dzieci – słusznie, na wolnym rynku przedszkole to taka sama płatna usługa jak malowanie ścian czy hybryda na paznokciach… A i po prawdzie bogobojne wieśniaczki pozbawione prawa do legalnej aborcji jakoś już dzieci nie chciały rodzić na chwałę wolnej Polski i Maryi zawsze dziewicy.

Wyższe klasy podstawówki nie były szczególnie fajne, bo po przeniesieniu się z zabitej dechami wiochy do dużego miasta dopiero dostrzegłam, jak jestem biedna. Nigdy nie zapomnę syfiastych, śmierdzących gumą trampków od Ruskich, bo na targu były tańsze nawet od tych chińskich. I nie było to przesadnie budujące, ujmując rzecz najdelikatniej. Koleżanki i koledzy z bogatych domów brylowali bez względu na wyniki, choć jeszcze to był czas, zanim polskie szkolnictwo doznało szoku nierówności i zupełnego niemal oddzielenia biednych od bogatych.

Ale już tam dostałam nomen omen niezłą szkołę wyobraźni – do dziś pamiętam, jak matka kupiła mi z lumpeksu koszulkę na WF, która (czego rodzicielka nie zauważyła, a może skusiła ją najniższa cena) była popisana markerem. Zaraz zaczęłam rozpowiadać, że to moi koledzy z wakacji zagranicznych się wpisali, aby mieć iluzję tego, że coś znaczę w klasie. Oj, niezapominanie języka w gębie i błyskawiczny refleks przydają mi się w pracy zawodowej do dziś…

Kochany ogólniak

Choć sama jestem nauczycielką – akademicką, ale jednak – szkoły nie lubiłam. Lubiłam gadać na lekcjach z koleżankami i kolegami i palić fajki za rogiem budynku placówki edukacji na poziomie średnim. No i licealne wycieczki szkolne, przed którymi nasza kochana wychowawczyni dobrotliwie ostrzegała, że nie chce zostać „wycieczkową babcią", ale patrzyła przez palce na lejący się litrami w pokojach alkohol i sztangi wypalonych papierosów. A po prawdzie sama z koleżanką łoiła wódkę, ale człowiek nie wielbłąd, napić się musi. Dziś by pewnie jej uczniowie to nagrali telefonami, wrzucili do internetu i zszargali reputację, a może nawet przyczynili się do wywalenia dobrej pedagożki ze szkoły.

Pamiętam, ile traumy mi przynosiły lekcje z przedmiotów ścisłych, zwłaszcza ta pierdolona fizyka. Przez cały ogólniak miałam tróję na półrocze i zagrożenie na koniec roku. W trakcie wzywania do odpowiedzi starałam się jak najniżej schować głowę, a wszelkie sprawdziany były dla mnie stresem tak ogromnym, że parę godzin dochodziłam do siebie. Na świadectwie maturalnym obok ocen celujących z historii czy wiedzy o społeczeństwie widnieje haniebna „mierna" (dwója) z fizyki. Skądinąd dobrze, że dziś ta ocena nazywa się „dopuszczający", bo mierny to jest poziom nauczania chemii, fizyki czy matematyki w polskich szkołach.

I teraz mam pytanie – po chuj było to wszystko? Co dobrego dla kogokolwiek wynikło z faktu, że katowano mnie głupimi wzorami i kazano mi rozwiązywać jakieś funkcje i limesy (ogólniak zaczęłam od czterech pał z matmy, bo nijak nie mogłam tego pojąć, o korepetycjach nawet nie śmiałam marzyć), równania z samymi prawie niewiadomymi, których liczenie było wszak straconym czasem, bo na końcu i tak wychodziło zero…

Ale nie jestem egoistką. Moim znajomym ścisłowcom omawianie lektur Mickiewicza czy Słowackiego kojarzyło się z borowaniem zębów, uczenie się dat bitew i imion królów wydawało się absurdem etc. Czemu ich tak też mordowano bez litości? Ludzie mają różne talenty, mniejsze lub większe, a czasem są tak na czymś skupieni – rzecz jasna, nie mówię tu o ruchaniu wszystkiego, co nie spierdala na drzewo i jaraniu blantów – że zapominają o bożym świecie.

Szkolne bolączki

O syfie, jaki panuje w polskiej szkole, napisano całe tomy, lecz jest to – mówiąc językiem biblijnym – głos wołającego na puszczy.

Rządzący nam miłosiernie od 20 lat PO–PiS rozłożył edukację na łopatki, z nauczycieli robiąc żebraków domagających się jakichś grosików, z uczniów przedmiot różnego rodzaju reform, a może raczej – deform.

Czy coś się zmieniło? Tak. Na gorsze.

W pędzie ku tandetnie rozumianej nowoczesności rozdano dzieciakom i niektórym nauczycielom laptopy, chyba tylko po to, aby mogli w niezłej rozdzielczości oglądać pornole i grać w gry online. E-dzienniki stały się krótką smyczą, na której chodzą jak pieski nauczyciele, do których wydzwaniają rodzice z pretensjami siedem dni w tygodniu od świtu do zmierzchu. Fora rodziców danej klasy są miejscem, gdzie pieniactwo zmaga się z roszczeniowością i zupełną odklejką od rzeczywistości wyrażającą się żądaniem, aby wychowawcy szybko naprawili ich dziecko, jakby to był samochód.

Bogaci i rosnąca część klasy średniej mają głęboko w dupie podupadające szkolnictwo publiczne – ich dzieci uczą się w najgorszym razie w wypasionych polskich szkołach prywatnych, gdzie w cieplarnianych warunkach uczy się je, jak w przyszłości wypełniać swoją funkcję nadzorców niewolników oraz rasy panów i pań, górujących ogładą i wiedzą nad hołotą.

Nawet nieśmiałe próby okrojenia programów nauczania spotykają się z oporem podstarzałych patafianów uważających swój przedmiot za najważniejszy na świecie, przez co wciąż męczą dzieciaki durnymi, zbędnymi rzeczami. W przypadku kanonu lektur (nieco ostatnio okrojonego) racjonalne zmiany spotykają się z wściekłymi protestami prawicowych polityków, którzy chyba ostatnie, co przeczytali, to była „Nasza szkapa", ale i z niej niewiele pojęli. Jak widzę ich tępe mordy, papugujące wysłany SMS-em partyjny przekaz dnia, widzę w nich nieodrodny produkt polskiej szkoły – uczącej posłuszeństwa i sztampy.

Idiotyzmem kolejnych ekip jest małpowanie Amerykanów (testy, wasza mać!), a nie kopiowanie rozwiązań fińskich, które są najlepsze na świecie. Demokratyczne. Poziom uzwiązkowienia nauczycieli sięga 98 proc., a jest to profesja do której trafiają najlepsi z najlepszych. Mentalnie bliżej nam do zubożałych i przemocowych szkół na Bronksie, aniżeli pięknych gmachów rozsianych po całej Finlandii, gdzie szkoły nawet na największym wygwizdowie mają poziom bliski stołecznych, o co państwo zadbało już przed laty.

Jeśli czytają mnie nauczyciele – mam apel: w miarę możliwości dajcie pożyć uczniom, jak śpiewał Pink Floyd, zostawcie ich w spokoju. Bo inaczej będą oni sobie nucić w trakcie kolejnych nudziarstw za punkowym Defektem Muzgó:

„Szkoła pali się, pomóżmy jej!
Cały gmach jara się, benzynę lej.
Do piekła poszedł belferski ród,
Został tu po nim ohydny smród".

KAT



Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

MÓŻDŻEK TYGODNIA



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Jest taki związek – Polski Związek Piłki Nożnej. Jest taki prezes – prezes PZPN Cezary Kulesza.

Nie znamy się na piłce nożnej, nie wiemy zatem, czy i w jakim stopniu Kulesza jest skorumpowany – niech się tym zajmują dziennikarze sportowi, prokuratorzy i sędziowie, nie tylko piłkarscy.

Wiemy natomiast, że Kulesza jest durniem – ostatnio głupszym od najgłupszych polityków PiS i Konfederacji. Oto dowód.

Najpierw w serwisie Goniec.pl ukazała się publikacja jednoznacznie zatytułowana „Polski Związek Wódki Polskiej", a w niej (publikacji, a nie wódce) opis nagrania, na którym prezes PZPN imprezuje z politykami prawicy. Kulesza – ten dureń nad durniami – stwierdził, że ani takiej sytuacji, ani takiego nagrania nigdy nie było, i postraszył dziennikarzy sądem. No to dziennikarze opublikowali to nagranie: Kulesza oraz kilku mężczyzn, m.in. politycy Zjednoczonej Prawicy Kamil Bortniczuk (ówczesny minister sportu) i Łukasz Mejza, „trzymając się ramion, kołyszą się i śpiewają religijną pieśń »Barka«".

Kulesza miał szansę trzymać język za zębami, zachował się jednak jak każdy arogant i głąb: uznał, że wszyscy mogą mu skoczyć. Na flaszkę.

eprasa.pl 691a71369b



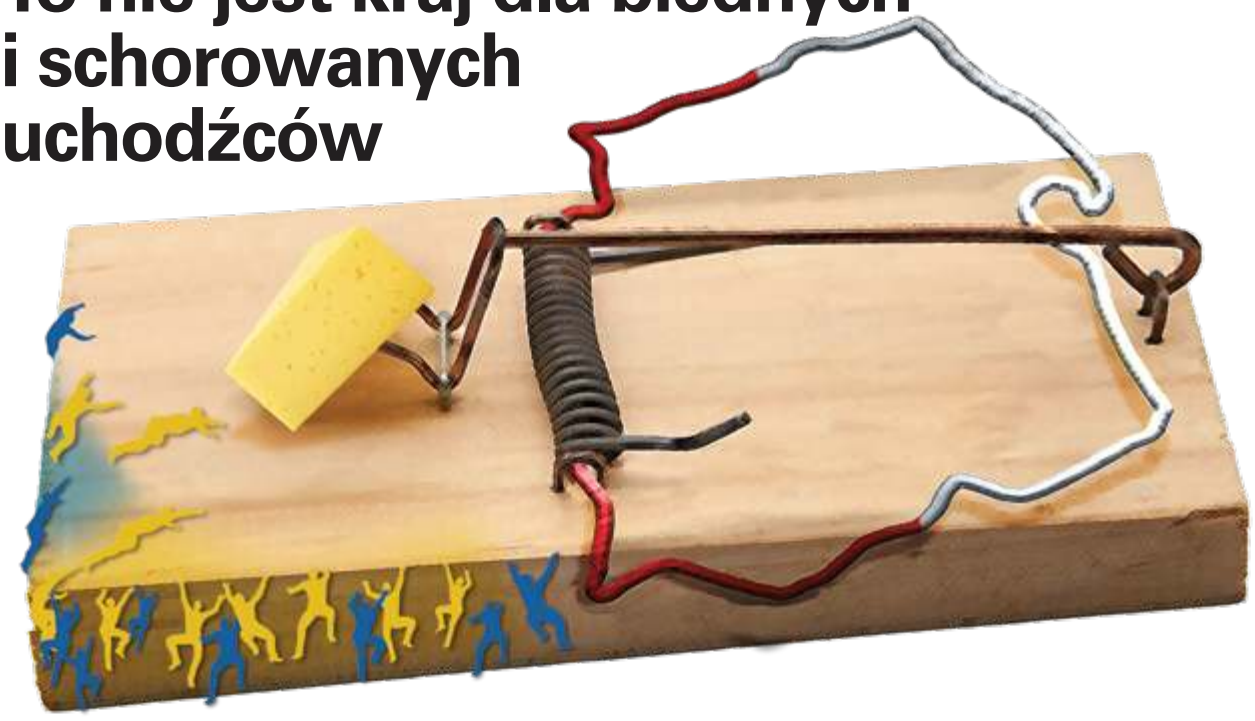




Zdjęcia IDALIA DUBICKA

Kukułcze jaja made in Poland

To nie jest kraj dla biednych i schorowanych uchodźców



24 sierpnia Ukraina obchodziła Dzień Niepodległości. Polscy politycy z życzeniami zerwali się jak do hejnału. Prezydent Karol Nawrocki w liście do prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego zapewnił, że Polska wspiera Ukrainę w jej walce o wolność, demokrację i europejskie wartości. Dzień później Nawrocki zawetował koszmarnie złą nowelizację ustawy o pomocy obywatelom Ukrainy w związku z konfliktem zbrojnym na terytorium tego państwa, która zapisami łamała dyrektywę Rady UE o ochronie tymczasowej ofiar najazdu na Ukrainę, ale tylko po to żeby zapowiedzieć jeszcze gorszy plan „pomocy" uchodźcom. Państwo polskie w swojej wspaniałomyślności postanowiło zatrzymać jedynie napędzający gospodarkę ukraiński narybek, olało zaś najsłabszych, którzy wciąż uciekają przed wojną. Tych wbrew pozorom jest sporo.

W Warszawie, największym hubie tranzytowym (dwa lotniska, kolej i autokary rejsowe w niemal każdym kierunku), na dworcach nie ma już komitetów powitalnych i kamer, ale są wolontariusze z programu relokacji Fundacji Asymetryści. Spędziłam z nimi dwa dni, żeby zobaczyć, jak organizacje pozarządowe bezpłatnie zdejmują z barków Rzeczypospolitej trud przepchnięcia na Zachód nieprzydatnych do urobku polskiego PKB uchodźców – seniorów, niepełnosprawnych lub zwyczajnie zbyt biednych na rozpoczęcie życia w kraju nad Wisłą, dla których pozostanie na terenach objętych wojną oznacza pewną śmierć.

System przerzutu

Z Kajetanem Wróblewskim, koordynatorem relokacji, i Tadeuszem Jakrzewskim z Asymetrystów spotykam się w poniedziałkowe popołudnie i z miejsca ruszamy do akcji. Jedziemy na foodsharing. Z zaprzyjaźnionych kawiarni i piekarni w centrum Warszawy odbieramy za darmo to, co się nie sprzedało. Kanapki i pieczywo trafią do najbiedniejszych na ulicach i do ośrodków, w których jeszcze pomieszkują uchodźcy. W międzyczasie Wróblewski opowiada, że kiedy już w pierwszych dniach wojny odbierał uciekinierów z granicy, wiedział, że to wszystko szybko pierdolnie i państwo polskie powinno zbudować system przerzutu Ukraińców do bogatszych krajów na Zachodzie. 90 proc. osób, które chcą szukać szczęścia w innych krajach europejskich, jedzie tranzytem przez Polskę. Nie przez sentyment, ale uwarunkowania geograficzne.

Na ukraińskich grupach internetowych od dawna krąży opinia, żeby Polski jako miejsca na nowy dom nie wybierać. I słusznie, bo to nie jest kraj dla biednych ani schorowanych ludzi. Kolejne zaś nowele ustawy o pomocy obywatelom Ukrainy – choć wydaje się to niemożliwe – jeszcze bardziej zdehumanizowały tych, którzy wciąż każdego dnia wysiadają na Dworcu Wschodnim z walizką własnego nieszczęścia bądź jedną parą gaci na dupie. Zresztą często nie są w stanie samodzielnie wysiąść, trzeba ich przenieść, posadzić na wózku inwalidzkim albo ten wózek skołować, bo w wojennej zawierusze się zapodział. Tym właśnie zajmują się Asymetryści i kilka zaprzyjaźnionych organizacji.

Wróblewski pokazuje mi w telefonie aplikację, dzięki której wiadomo, kto przyjedzie kolejnym transportem i w jakim stanie zdrowia są przybysze. Przesuwa palcem po ekranie: dane osobowe, zdjęcia – lista długa jak z Berlina do Moskwy. W oko wpada mi ukraińskie małżeństwo. Obydwoje w wieku 83 lat, mężczyzna niewidomy.

Ukraińcom w ucieczce z okupowanych terytoriów Ukrainy, a także Białorusi i Rosji pomagają Rubikus (międzynarodowa sieć wolontariuszy, oficjalnie zarejestrowana w Niemczech) oraz Helping to Leave (organizacja ukraińska zarejestrowana w Czechach), które dzięki darowiznom i zrzutkom organizują relokację ukraińskich uchodźców do europejskich krajów, przede wszystkim Danii, Niemiec, Holandii, Norwegii i Finlandii. Wolontariusze z Rosji i Białorusi muszą być bardzo ostrożni, bo za pomoc mogą ich spotkać nieprzyjemności pod postacią wieloletnich wyroków. Śliski to parkiet do tańca, ale jakoś hula.

Do Rubikusa zgłasza się ok. 70 rodzin dziennie. Póki co organizacji udało się pomóc 60 tys. osób.

Proces wyjazdu zaczyna się od zgłoszenia przez internet. Wypełnia się wniosek, dalej postępuje się według instrukcji, które przychodzą zdalnie. Do niedawna nie padało pytanie o pieniądze, ale aktualnie, jeśli ktoś dysponuje groszem, za podróż płaci sam – portfele darczyńców nie są z gumy. Mimo to 90 proc. uciekinierów dostaje bilety od fundacji, bo zwyczajnie są goli. Prawdziwa jazda zaczyna się jednak na polskiej granicy.

Na wózku po nowe życie

Kolejnego dnia wczesnym rankiem melduję się na pętli autobusowej dworca Warszawa Wschodnia. Ekipa Asymetrystów już czeka na transport z Ukrainy. W gotowości bus i prywatny samochód osobowy, którymi wolontariusze będą rozwozić obywateli Ukrainy do miejsc tymczasowego zakwaterowania.

Mamy szczęście. Medibus, potężny autokar z miejscami dla osób niepełnosprawnych, wtacza się na stanowisko o czasie. Ostatnio, jak mówią mi wolontariusze, transport przyjechał spóźniony o pięć godzin, bo straż graniczna znalazła u jednego z ewakuowanych mężczyzn trzy paczki fajek, w tym jedną napoczętą. Ponieważ na teren RP wolno wwieźć tylko dwie, celnicy przetrzepali do podszewki autobus wraz z ludzkim wsadem. Może nie znaleźli kontrabandy, ale za to zafundowali schorowanym i wymęczonym upałem uchodźcom odwodnienie i kilkugodzinny postój z podziwianiem widoków. Witamy w Polsce.

W ruch idą balkoniki i wózki inwalidzkie. Na sprzęt dla sprawnych inaczej wolontariusze polują na OLX. O ile ktoś go spuszcza za szczery uśmiech, oczywiście. Poszukują też walizek.

Kajetan Wróblewski wspomina o pociągu z Rawy Ruskiej (obwód lwowski) – kolekcjonerskim, można rzec, spalinowym składzie – który codziennie przyjeżdża na Wschodnią. Zdarzyło się kilka razy, że nieszczęśnik podróżujący na wózku inwalidzkim został wysadzony na peronie, gdzie utknął jak kij w kaszance, bo żeby skorzystać z podnośnika, trzeba poinformować obsługę dworca o planowanej podróży dzień wcześniej. Cóż, ewakuacja nie zawsze pokrywa się z planami.

Rozładunek Medibusa idzie sprawnie, ale pojawia się niespodzianka. Jedna z ewakuowanych kobiet, 58-letnia Larysa z nagminnie bombardowanego Charkowa, przekroczyła polską granicę drugi raz od rozpoczęcia wojny. Mówiąc kolokwialnie, dupa zimna. Noclegi w hostelach opłacanych ze zrzutek przez Rubikusa i dalsza podróż przysługują tylko obywatelom Ukrainy, którzy meldują się na polskiej ziemi pierwszy raz. Dura lex, sed lex. Kobieta uderza w płaczliwy ton i macha papierami medycznymi, które potwierdzają jej liczne schorzenia.

Opcje są dwie: kwaterunek w noclegowni dla bezdomnych kobiet w Warszawie albo kupno biletu na najbliższy transport do jednego z państw, które przyjmą Larysę. Asymetryści wydłubują ze skromnych zasobów zaskórniaki na bilet. Pomiędzy młotem wojny a kowadłem noclegowni to najlepsze rozwiązanie, chociaż sami ledwo wiążą koniec z końcem. Miesięczny koszt charytatywnej działalności to ok. 12 tys. zł. Lwią część pochłaniają zakup paliwa i wynajem busów. Larysa i tak ma farta, że ma paszport. Jej rodacy z okupowanych terenów mają zakaz posiadania ukraińskich dokumentów, a wyrobienie nowych jest praktycznie niemożliwe.

Jedziemy do hostelu zainstalować nowych gości. Część z nich jeszcze dziś zostanie odstawiona na lotniska i dworce w dalszą podróż. Od początku wojny ani państwo, ani samorząd nie stworzyły w stolicy bodaj jednego miejsca noclegowego dla OzN (osób z niepełnosprawnością). Zdarza się, że tranzytem przez Warszawę jadą ludzie leżący, zapieluchowani. Często samotni lub w towarzystwie małżonków inwalidów. Ewakuują się niepełnosprawni rodzice z małymi dziećmi. Wróblewski mówi, że w takich sytuacjach fundacji pomaga ukraińska pielęgniarka, która ogarnia nieszczęśników do czasu wyjazdu. Asymetryści korzystają też z uprzejmości Fundacji Siostry Małgorzaty Chmielewskiej, która zaproponowała w jednym z prowadzonych przez siebie domów kilka miejsc gwarantujących właściwe warunki i opiekę. Brak wystarczającej bazy noclegowej oznacza korek w ewakuacji, zastój natomiast drastycznie redukuje szanse na przeżycie osób z grup wrażliwych.

Podróż po śmierć

Bywa, że schorowani uchodźcy przyjeżdżają do Warszawy po śmierć. Brak możliwości właściwego leczenia na terenach ogarniętych wojną i wyczerpująca podróż ku lepszemu zbierają trupie żniwo. Kiedy stan zdrowia nowo przybyłego uchodźcy się pogarsza, wolontariusze pomagają ogarnąć numer PESEL ze statusem UKR, który upoważnia do opieki medycznej. Ostatnio miała miejsce nieprzyjemna sytuacja, kiedy podróżujący do Niemiec uchodźca z chorobą nowotworową nabawił się w podróży zapalenia płuc i trafił do szpitala. Placówka przyjęła chorego, a Asymetryści pojechali do urzędu załatwić glejt. Biednemu zawsze wiatr w oczy i sękaty kij w dupę. Okazało się, że w stolicy trwa właśnie wymiana kart do przenośnych urządzeń do pobierania odcisków palców. Po kilku dniach urząd zadeklarował, że jego pracownik stawi się w szpitalu 20 sierpnia. Niestety urzędnik nie pojawił się w lecznicy. W międzyczasie chory zmarł. Co dalej? Nie wiadomo. Wielce prawdopodobne, że żona i córka mężczyzny zostaną z gigantycznym długiem ze szpitala i kosztami kremacji do spłacenia. Z czego? Chuj wie, nie mają złamanego grosza.

Polska oszczędza na tranzycie inwalidów, rodzin wielodzietnych czy emerytów do innych krajów Unii Europejskiej ok. 1 mld zł rocznie. Mimo to nie wykazuje inicjatywy, żeby w jakikolwiek sposób wesprzeć organizacje pozarządowe, które odwalają brudną robotę. 25 sierpnia prezydent

Nawrocki zawetował nowelizację ustawy o pomocy uchodźcom z Ukrainy. Nowela łamała unijną dyrektywę o pomocy ofiarom rosyjskiej agresji w tylu punktach, że w innych okolicznościach można by się z tego weta cieszyć. Niestety, Nawrocki zapowiedział własny projekt ustawy, który dokręci śrubę do maksimum.

Ku uciesze ogółu według zapowiedzi prezydenta 800 plus i ubezpieczenie medyczne będą przysługiwać tylko Ukraińcom, którzy podejmą pracę. Tym samym rodziców samotnie wychowujących małe dzieci, w tym niepełnosprawnych, którzy nie są w stanie pracować (bo np. zamieszkują tak daleko od ośrodków miejskich, że nie mają szans takiej pracy znaleźć) i ich jedynym dochodem jest świadczenie, nie będzie stać nawet na pobyt w płatnych zbiorowych przechowalniach dla uchodźców. Wylądują na ulicy i zapewne udadzą się po pomoc do Rubikusa i Asymetrystów. Problem z wozu, Polsce lżej. Co by nie mówić, jest jednak pewna solidarność w narodzie: spora część społeczeństwa i rządzący wszystkich opcji politycznych mają to w dupie.

IDALIA DUBICKA

Informacje o zrzutkach na pomoc niepełnosprawnym i chorym uchodźcom można znaleźć na facebookowym profilu: Asymetryści.

eprasa.pl 691a71369b

Akumulacja wolności

Bajki dla myślących

Czy anarchizm to chaos?

Tomek Lipiński z zespołu Tilt chyba tak jak ja lubił opowiadać bajki, które należy opowiadać nie po to, by kogoś uśpić, ale po to by go obudzić:

„Mówisz o miłości
czy ty nie widzisz, że
są tacy, którzy chcą, żebyśmy nienawidzili się?
I mówisz o wolności, przecież musisz widzieć, że
każdy z nas jest niewolnikiem,
czy tego chcesz, czy nie
mówię ci, że
mówię ci, że
jedyne wyjście to obudzić się”.

No to wyobraź sobie, że gdzieś kiedyś ludzkość – najpewniej wtedy, kiedy zmądrzała po wielkim armagedonie – postanowiła zorganizować się oddolnie, bez państwa. Wszyscy już mieli dość polityków, wojen, wyzysku, niemożliwej do zatrzymania eksploatacji natury i okradających ich właścicieli kapitału. Zapragnęli prawdziwej wolności i solidarności bez przemocy państwa oraz ekonomicznego wyzysku. Postanowili zadbać o wolność przez współpracę i oddolną organizację – wzajemną pomoc i samorządność. Mieli dość takich instytucji jak Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Światowa Organizacja Handlu, które petryfikowały system kapitalistyczny, faworyzując interesy parszywie, niemoralnie bogatej mniejszości, pogłębiając jednocześnie nierówności globalne. Mieli także po kokardkę systemu, który niszczy relacje społeczne i prowadzi do okresowych kryzysów, feminizacji ubóstwa, regionalizacji biedy i ogólnej ekologicznej degradacji planety.


Rys. MARCIN CHUDZIK

I jak się zorganizowali? Przede wszystkim znieśli własność prywatną środków produkcji na rzecz własności wspólnej bądź użytkowania własności publicznej. Ale spokojnie! W ich społeczeństwie ograniczenie własności nie dotyczyło przedmiotów osobistego użytkowania jak mieszkanie, komputer czy szczoteczka do zębów. Środki produkcji nie należały ani do państwa (jak w socjalizmie państwowym), ani do kapitalistów, ale do całego społeczeństwa lub bezpośrednio do kolektywu, który z nich korzystał. Pracownicy stalowni zarządzali stalownią, rolnicy – ziemią, a mieszkańcy – swoimi mieszkaniami i infrastrukturą osiedlową. Rozwinęli spółdzielczość.

W tych warunkach wszyscy stali się pracownikami. Nie było właścicieli. Ich indywidualne wynagrodzenie zależało od osobistego wkładu pracy (intelektualnej lub fizycznej). Wycena wartości tej pracy nie zależała (jak w kapitalizmie) od osoby właściciela firmy, ale od współpracowników.

Postawili na samorządność i federalizm. Podstawową jednostką organizacyjną stały się spontanicznie powstające kolektywy pracownicze i inne dobrowolne stowarzyszenia, które koordynowały swoje działania poprzez bardziej ogólne struktury – federacje. Władza płynęła od dołu do góry, a delegaci mieli imperatywne mandaty, dzięki czemu mogliby być odwołani w każdej chwili.

W takiej strukturze nie było ani sposobności, ani powodu do brutalnej rywalizacji. Wzajemna pomoc i solidarność stawała się normą. Panowało przekonanie, że współpraca, a nie bezwzględna walka jest najskuteczniejszym sposobem rozwiązywania problemów i czynnikiem rozwoju ludzkości. W ich społeczeństwie relacje międzyludzkie opierały się na wzajemnej pomocy, a nie na żądzy zysku. Chciwcy nawet nie mieli jak realizować swojej destruktywnej pasji.

Wolność traktowano jak niemal nienaruszalne prawo człowieka. Jedno, co ograniczało indywidualną wolność, to krzywda innych ludzi. Możesz robić, co chcesz, ale granicą twojej wolności jest dobro drugiego człowieka. Ta społeczność uznała, że ludzkie problemy (przestępczość, konflikty) są najczęściej produktem nierówności społecznych, ubóstwa i systemowego ucisku. W ich wizji społeczeństwa konflikty rozwiązywane są przez mediację społecznościową i sądy przysięgłych, a celem byłaby naprawa szkód i reintegracja, a nie odwet i kara stosowana tylko w wyjątkowych okolicznościach i dla zabezpieczenia praw innych ludzi. Opieka społeczna opiera się na wzajemnej pomocy i solidarności, a nie na biurokratycznej instytucji.

Dzięki temu, że podstawową jednostką organizacyjną stały się wolne zrzeszenia i organizacje takie jak kolektywy miejskie lub dzielnicowe, zakłady pracy i inne lokalne stowarzyszenia, to nikt poza nimi nie decydował o dotyczących ich sprawach. System działał na zasadzie demokracji bezpośredniej lub konsensusu (demokracja deliberatywna i panele obywatelskie). Do koordynacji projektów wykraczających poza możliwości pojedynczej struktury organizacyjnej (np. zarządzanie koleją, siecią energetyczną, ochroną środowiska na dużą skalę) tworzono sieci oddolnie zarządzanych federacji. Władza płynie w nich od dołu do góry. Stworzono zatem sieć władzy, a nie hierarchię. Sieć władzy zarządzaną przez tych, którzy są bezpośrednio zaangażowani (pracownicy, użytkownicy, lokalna społeczność) opartą na dobrowolności, współpracy i federacji, gdzie władza jest rozproszona, a jednostka jest wolna, ponieważ uczestniczy w kształtowaniu warunków swojego życia. W taki sposób idea zorganizowanej oddolnie współpracy okazałą się podstawą nowego, wolnego i sprawiedliwego społeczeństwa.

Mówię Ci, że... to już czas przestać wierzyć w bajki o królach i królewnach. Może też czas obudzić się i przestać wierzyć, że uratują nas superbohaterzy z Hollywood walczący ze złymi ludźmi zamiast ze złym systemem? Może czas dorosnąć i przestać wierzyć, że anarchizm to antysystem, system chaosu i czyste szaleństwo?

ANNA GRODZKA

SŁOWO CZERWONE

Prezydent dokopał dzieciom

Zmiana sojuszy

Podczas spotkania w Pekinie z przewodniczącym rosyjskiej dumy Wiaczesławem Wołodinem przywódca Chin Xi Jinping podkreślił, że rozwój stosunków chińsko-rosyjskich leży w fundamentalnym interesie obu narodów i stanowi „stabilne źródło pokoju na świecie”. Skądinąd powszechnie wiadomo, że bez wsparcia Chin Rosja nie byłaby w stanie prowadzić tyle czasu wojny z Ukrainą. Można równie dobrze więc stwierdzić, że ten sojusz jest źródłem wojny.

Według chińskiego przywódcy gwarancją nowego sensownego porządku świata jest zjednoczenie sił krajów Globalnego Południa z Rosją włącznie. Wiele wskazuje na to, że negocjacje w sprawie zamrożenia rosyjsko-ukraińskiego konfliktu nie sprowadzają się do zatrzymania działań zbrojnych między tymi krajami, a dotyczą układania nowego światowego porządku.

W komunikatach i artykułach na temat stosunków USA–Rosja brak prawie całkiem przekazów o tym, że obok sprawy ukraińskiej rokowania dotyczą strategicznych bogactw naturalnych w Rosji – i na terenach ukraińskich zdobytych przez Rosję – które USA chcą importować i w które chcą ewentualnie inwestować i mieć swoje udziały. Nie wspomina się także o tym, że w rokowaniach tych jest mowa o roli Rosji i jej ewentualnej współpracy z Izraelem na południu Syrii i ograniczeniu roli Turcji w tym kraju, roli Rosji (i Iranu) na południowym Kaukazie wobec ekspansji Turcji w kierunku Azji Środkowej, stosunkach Rosji z Iranem i Chinami oraz BRICS, rolach Rosji i USA w Afryce (po widocznym już zmniejszeniu roli Europejczyków na tym kontynencie), ewentualnej wolnej ręce dawanej USA do działania na „swoim podwórku” latynoamerykańskim. Fakt, że USA rozmieszcza okręty wojenne w pobliżu Wenezueli, może już być wynikiem takich uzgodnień. Tematem tych rozmów mogą być też naciski BRICS w kierunku osłabienia pozycji dolara. Te wszystkie kwestie są równie ważne, jeśli nie ważniejsze dla USA od sprawy ukraińskiej.

Rosja wraz Chinami i jej sojusznikami z BRICS ma dla USA o wiele ważniejszą ofertę niż Ukraina. Słowem, pod płaszczykiem gaszenia konfliktu, Zachód a raczej USA, dogaduje się z krajami globalnego Południa i niewykluczone, że kosztem Ukrainy.

Od czasu wojny celnej z Europą zbiorowy Zachód przestał istnieć, a Amerykanie są skłonni dogadywać się z Rosjanami i Chińczykami kosztem interesów Unii Europejskiej. Atak na Ukraińców przebywających w naszym kraju nie jest więc wyłamaniem się ze wspólnego frontu, który wydawał się zwarty, gdy tylko Rosja napadła na Ukrainę. Karol Nawrocki, wetując ustawę o pomocy Ukraińcom, z pewnością skonsultował to posunięcie z Trumpem, który coraz lepiej dogaduje się z Putinem, a Zełenskiego w Białym Domu sponiewierał. Polski prezydent jest wyraźnie faworytem Trumpa, ale ceną za to faworyzowanie jest posłuszeństwo.

Na antyukraińskiej nucie gra nie tylko zjednoczona prawica, ale i liberałowie. Warto przypomnieć, że odjęcie od ust zasiłku dla dzieci ukraińskich, których rodzice nie pracują, zaproponował kandydat na prezydenta Rafał Trzaskowski przy aprobacie premiera Tuska.

W miarę jak narasta w naszym kraju brunatna fala, różnice między obecnym obozem władzy a opozycją i nowym prezydentem zanikają. Dostrzegł to Jarosław Kaczyński, przestrzegając Konfederację przed zawarciem sojuszu z Platformą Obywatelską. Oświadczył nawet, że gdyby Konfa to zrobiła, znalazłaby się w obozie antypatriotycznym. Tylko że ów obóz patriotyczny scalała wrogość do Rosji i poparcie dla Ukrainy zastępującej drogę armii rosyjskiej. Jednak teraz cała ta patriotyczna i antyrosyjska konstrukcja się wali.

Wrogami nie są już Rosjanie, tylko Ukraińcy, a na Rosjan nasza prawica nie mówi już prawie złego słowa. Mało tego, czerwony dywan i oklaski dla Putina oznaczają, że Waszyngton jest coraz bliżej Moskwy i coraz dalej od Brukseli.

Nasze 5 proc. na obronność traci wszelki sens, jeżeli przyjąć zasadę, że kumpel mojego kumpla jest moim przyjacielem. A przecież cała nasza strategia obronna opiera się na ślepej wierze, że uchroni nas art. 5, a konkretnie Amerykanie. Ale przed czym mieliby nas chronić, skoro ewentualny agresor jest tak ciepło witany w Białym Domu?

Wszystko to przypomina absurdalne zmiany sojuszy, jakie Orwell opisuje w „Roku 1984”. Oto cytat: „Partia twierdziła, że Oceania nigdy nie zawarła sojuszu z Eurazją. On, Winston Smith, wiedział, że Eurazja była sojuszniczką Oceanii zaledwie cztery lata wcześniej. Skąd jednak czerpał tę wiedzę? Wyłącznie z własnej świadomości, która niedługo i tak zostanie unicestwiona”. Propaganda partii głównego nurtu każe nam wkrótce zapomnieć o wielkim geście braterstwa i solidarności wobec napadniętego przez Rosjan narodu ukraińskiego. Będziemy musieli zapomnieć, bo Wielki Brat oklaskiwał Putina na czerwonym dywanie.

PIOTR IKONOWICZ

Marcin Bondarowicz nagrodzony

Grand Prix 23. Międzynarodowego Biennale Karykatury Antywojennej Kragujevac (Serbia) 2025 r. zostało przyznane Marcinowi Bondarowiczowi, rysownikowi współpracującemu z tygodnikiem „NIE”. Jest to jednocześnie pierwsze grand prix, które Marcin Bondarowicz otrzymał w swej artystycznej karierze. Jego praca zwyciężyła w konkursie, do którego stanęło 506 autorów z 67 krajów.

– To wyjątkowa forma uznania i podkreślenia roli artysty i sztuki w międzynarodowej misji niesienia sprzeciwu wobec wojny i przemocy na świecie. Głos artysty w misji antywojennej jest szczególnie aktualny wobec bieżących konfliktów zbrojnych na świecie – tak podsumował swój udział w konkursie jego zwycięzca.


Rys. MARCIN BONDAROWICZ

REKLAMA



eprasa.pl 691a71369b

Donald dominator

Bestia MAGA w natarciu

Oto chwila, w której rosyjski dyktator doznaje przejażdżki Bestią, czyli Cadillakiem amerykańskiego prezydenta po terytorium Stanów Zjednoczonych, po czym prezentuje swe wdzięki na rozłożonym przed nim czerwonym dywanie. Oto także chwila, w której Putin, przyglądając się przygotowanej przez Trumpa na jego cześć paradzie najnowszych dzieł amerykańskiej militarnej awioniki, stwierdza, że to nie zwyczajny koniec wojny: „to mój triumf". Mając jednak nie najlepszą opinię o wrednym, agresywnym amerykańskim imperializmie, zapytał: to o co chodzi? Jeśli nie chodzi o jakąś Ukrainę, do której Trump moich praw nie zaprzecza, ani o „fundamentalne wartości Zachodu", to oczywiście chodzi o kasę – powrót jego imperium. Hasło MAGA będzie zatem dotyczyć nie tylko polityki wewnętrznej USA. Trump chce uczynić Amerykę imperium, ale bez ponoszenia kosztów, a raczej wykorzystując swą militarną i technologiczną siłę wywierać presję, aby załapać się na wszystkie możliwe zyski. Czyli krótko mówiąc: wszystkich wycyckać.

Wrogiem Trumpa w tym kontekście stają się Europa i Chiny. Ale z Chinami nie będzie tak prosto – rozwijają się w tempie podróży kosmicznej i potrafią boleśnie Amerykę ukąsić. Żeby nie być gołosłowną, wspomnę tylko o postępującym procesie zastępowania dolara juanem w rozliczeniach międzynarodowych czy wypychaniem USA z rynków dalekowschodnich i afrykańskich. Zatem głównym pożywieniem MAGA będzie Europa. Nie wiem, kto w Europie jest jeszcze szczerze przekonany, że Trump w razie ataku Rosji na jakiś kraj NATO dotrzymałby rzetelnie postanowień artykułu piątego i rzetelnie przystąpił do obrony. Ja mam poważne wątpliwości i zastanawiam się, czy UE robi słusznie, starając się ulegać Trumpowi, by go nie wkurzać, zamiast jasno postawić sprawę, że Ameryka podważyła sojusz atlantycki i każdy musi dbać o siebie.

Jaka jest strategia amerykańskiej dominacji nad Europą? Konkretne fakty pokazują spójny wzorzec zachowań.

Ekonomiczna dominacja: Użycie ceł i groźby wojny handlowej do osłabienia gospodarek UE i wymuszenia korzystnych umów przy jednoczesnej twardej ochronie interesów amerykańskich big techów w Europie. Cła jako broń. Nie ulega wątpliwości, że Stany Zjednoczone korzystają na wojnie z Ukrainą w dwojaki sposób. Pierwszy to odpłatne dla państw NATO dostawy broni dla Ukrainy. Amerykańska zbrojeniówka pracuje pełną parą i zarabia na dostawach broni krocie. Po drugie udało się Stanom uzależnić Europę od amerykańskich dostaw surowców energetycznych. UE musiała zobowiązać się do wielkich zakupów ropy i gazu z USA. Dzięki takiemu działaniu USA mają zamiar zapewnić sobie trwałą przewagę ekonomiczną nad Europą.

Polityczna dominacja: Celowe osłabianie jedności UE poprzez poparcie dla sił antyunijnych i prowadzenie polityki „dziel i rządź". Przykładem niech będą spotkania z radykalnymi europejskimi politykami. Trump przyjmował w Białym Domu przywódczynię francuskiego Zjednoczenia Narodowego Marine Le Pen oraz premiera Węgier Viktora Orbána, którego nazywał „wspaniałym przywódcą", i wspiera europejskie ugrupowania radykalnej prawicy. Tego typu gesty są czytane jako poparcie dla antyunijnych, autorytarnych tendencji w Europie. Udzielił także poparcia dla brexitu. Wielokrotnie chwalił brexit, nazywając go „wspaniałą rzeczą" i obiecując Wielkiej Brytanii „masywny" układ handlowy, który miałby być zawarty szybko, poza strukturami UE – faktycznie aktualnie brytyjskie cła są mniejsze niż europejskie.

Militarna dominacja: Podważanie wiarygodności NATO i przekształcenie go w transakcyjny model, gdzie USA dyktuje warunki, a bezpieczeństwo Europy staje się zakładnikiem amerykańskiej polityki. Transakcyjne podejście do sojuszy i bezpieczeństwa: „Płaćcie albo…". Najbardziej szokujące było jego ultimatum skierowane do sekretarza generalnego NATO Jensa Stoltenberga: „Zapłaciliście? Bo jeśli nie, Stany Zjednoczone będą musiały iść własną drogą". To bezprecedensowe stawianie artykułu 5 (klauzuli obronnej) w warunkach finansowych. „The New York Times" w 2019 r. donosił, że

Trump wielokrotnie prywatnie mówił o wycofaniu USA z NATO. Jego doradcy, jak John Bolton, potwierdzili, że groźba wyjścia z sojuszu była stałym elementem jego retoryki w rozmowach z europejskimi przywódcami.

To stworzyło atmosferę strategicznej niepewności, zmuszając Europę do rozważania scenariusza, w którym nie może polegać na gwarancjach bezpieczeństwa USA. Na przykład podczas wiecu w styczniu 2024 r. Trump oświadczył, że „zachęci" Rosję do robienia, „co tylko zechce" z członkami NATO, którzy „nie płacą". To bezpośrednie podważenie fundamentu sojuszu i jasny sygnał, że bezpieczeństwo Europy jest dla niego towarem, a nie zobowiązaniem.

Geopolityczna dominacja: flirt z Putinem i gotowość do uznania rosyjskiej strefy wpływów w zamian za nieokreślone korzyści, co stawia Europę w pozycji strategicznie osamotnionej i zmuszonej do negocjowania z USA z pozycji słabości, oraz akceptacja rosyjskiej strefy wpływów. Na przykład w 2019 r. Trump wstrzymał kongresową pomoc wojskową dla Ukrainy o wartości 391 mln dol., próbując wymusić na prezydencie Zełenskim ogłoszenie śledztwa przeciwko swojemu politycznemu rywalowi Joe Bidenowi. Doprowadziło to do pierwszego impeachmentu Trumpa. To działanie pokazało, że dla Trumpa wsparcie dla Ukrainy było kartą przetargową w wewnętrznej grze politycznej, a nie elementem strategicznej obrony Zachodu. O polityce Trumpa świadczy także propozycja powrotu Rosji do G7. Trump wielokrotnie wzywał do przywrócenia Rosji (wykluczonej za aneksję Krymu) do grona G8 bez żadnych ustępstw z jej strony. To bezpośrednie podważenie stanowiska UE i sankcji nałożonych na Rosję.

Działania Trumpa nie są jedynie stylem polityki; są strategicznym dążeniem do redefinicji relacji transatlantyckich, w których Stany Zjednoczone nie są „pierwszym wśród równych", lecz hegemonem dyktującym warunki sojusznikom postrzeganym jako konkurenci ekonomiczni. To ekonomiczna wojna z Europą. Wojna na Ukrainie jest w tym scenariuszu jedynie kolejnym polem do przetargu, a nie konfliktem o fundamentalne wartości Zachodu.

ANNA GRODZKA



Rys. TOMASZ ROGOWSKI

Opór za napór

Bojkot Izraela zaczyna się w markecie

Doszliśmy do takiego etapu cywilizacyjnego, że możemy oglądać palestyński holokaust na żywo. Każdy kto zaloguje się na Instagramie, dostaje szansę podpatrywania cholernie niewesołych losów Palestyńczyków żyjących w okupowanej przez Izrael Gazie. Sama śledzę kilka takich profili. Można zaoszczędzić na kawie, bo mało co tak podnosi ciśnienie jak widok zasuszonych z głodu dziecięcych półtrupków, szczególnie że z drugiej strony władze Izraela wykupują sponsorowane posty, w których pokazują wygenerowane w AI luksusowe kawiarnie z fontannami czekolady działające w Strefie Gazy i obżerających się po restauracjach utuczonych Palestyńczyków.

Rolki śmierci

„Żyjemy w grobie" – pisze Ramez, ojciec czworga dzieci, w tym uroczego trzylatka Adama. „W Gazie śmierć jest bliżej niż woda i chleb" – zatytułował jeden z filmów, na którym udokumentował izraelski ostrzał dzielnicy. Takich materiałów jest w pipę. Po kilkunastu minutach seansu idzie dostać migreny i skrętu kich od odgłosów wystrzałów i buczenia latającej demokracji IDF (Siły Obronne Izraela – red.).

Jest też chłopak, który łączy się na żywo przez kamerę z losowymi Izraelczykami i pyta ich o zdanie względem polityki rządu Netanjahu. Opinie są podzielone, część Żydów z miejsca życzy palestyńskiemu koledze raka i natychmiastowej śmierci dla jego narodu, część skłania się ku torturom.

Niemniej mur tępej izraelskiej propagandy zaczyna kruszeć, do opinii publicznej docierają obrazy i historie, od których swędzą zęby. Międzynarodowa społeczność zaczyna powoli dostawać wkurwu, a że bardzo chce go w jakiś sposób zmaterializować, narodził się trend jebania wszystkiego, co utrzymuje Izrael w finansowym pionie.

Metki wstydu

Zapewne wszyscy pamiętają, kiedy po wybuchu wojny na Ukrainie na fali solidarności z zaatakowanym narodem ogłoszono bojkot firm i koncernów, które nie zdecydowały się wycofać z rosyjskiego rynku. Było z tym sporo uciechy, ale kolejne bastiony padały. Co prawda marki takie jak Decathlon czy Auchan zmarszczyły dupę bardziej pod wpływem sankcji nałożonych na Rosję przez Unię Europejską niż społeczne oburzenie, ale co się ludzie pocieszyli, to ich.

Z Izraelem sprawa ma się nieco inaczej. Firmy, które czerpią zyski z okupowanych terytoriów palestyńskich, zasilają izraelską machinę wojenną. To tak, jakby ktoś wszedł z drzwiami do waszego domu, zdemolował go i wyżarł zapasy pożywienia, żeby na koniec uczty spuścić oklep domownikom i wyrzucić ich na ulicę.

W sieci coraz większą popularność zdobywa raport „Od ekonomii okupacji do ekonomii ludobójstwa" włoskiej prawniczki i obrończyni praw człowieka, specjalnej sprawozdawczyni ONZ ds. okupowanych terytoriów palestyńskich Franceski Albanese. Na podstawie ponad 200 zgłoszeń od państw, obrońców praw człowieka, badaczy akademickich i firm opracowała ona bazę przedsiębiorstw biorących udział w procederze. Wynika z niego, że

szereg znanych światowych koncernów, mimo deklaracji prowadzenia etycznego biznesu, wspiera nielegalne działania Izraela wobec Palestyny. Moralnie obrzydliwe, ale opłacalne.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Mimo trwającego ludobójstwa giełda w Tel Awiwie wykazała zaskakującą odporność i zaczęła osiągać rekordowe poziomy. Według doniesień indeks TA-125 od czasu ataku Hamasu w 2023 r. do grudnia 2024 r. zyskał blisko 50 proc.

Ludzie zaczęli się skrzykiwać, żeby oszczać ciepłym moczem wymienione w dokumencie korporacje. Czas pokaże, na ile wymierny efekt przyniesie ten bunt. Pierwsze symptomy marketingowej obstrukcji były obiecujące. Dwa lata temu turecki parlament wycofał produkty Coca-Coli i Nestlé ze swoich restauracji i kawiarni. Decyzja została podjęta pod naciskiem opinii publicznej. Dlaczego? Coca-Cola prowadzi fabrykę w Atarot, osiedlu na Zachodnim Brzegu, które jest nieuznawane przez prawo międzynarodowe.

Tuż po rozpoczęciu wojny oberwało się także amerykańskiej hamburgerowni. Izraelski oddział franczyzowy sieci McDonald's zapewnił darmowe posiłki żołnierzom IDF. Sprzedaż w arabskich franczyzach zjechała w dół o 60 proc., a w Libanie zdemolowano z tej okazji lokalne restauracje.

Izraelskie lokale McDonald's od przeszło 30 lat należały do lokalnego licencjobiorcy Alonyal Ltd., którego właścicielem jest izraelski biznesmen Omri Padan. Po bojkocie sieci amerykański gigant fast food przejął restauracje Alonyal. Widok mordowanych Palestyńczyków nie boli tak jak spadek sprzedaży.

Śliska etyka

Kto się jeszcze dorzuca do izraelskiej machiny wojennej? Trochę jest tego miodu. Raport wymienia różne branże, w tym producentów broni, firmy technologiczne, budowlane, wydobywcze, banki, fundusze emerytalne, ubezpieczycieli i tak dalej. W dokumencie znajdziemy takich gigantów jak m.in. Alphabet (holding powołany przez Google), Amazon, Allianz, BNP Paribas, Microsoft, BP czy Volvo.

Dajmy na to taki sektor turystyczny. Portale Booking.com i Airbnb zamieszczają ogłoszenia z nielegalnych izraelskich osad na okupowanym Zachodnim Brzegu, podkręcając tym samym biznes osadników trzepiących kasę na kradzieży domów i ziemi. Dla przykładu Airbnb reklamuje jako ciepłą i przyjazną kolonię Tekoa, tymczasem w sąsiedniej wiosce Tuqu Palestyńczycy tracą dostęp do pól uprawnych, co ogranicza uprawianie roli będące ich głównym źródłem utrzymania. Co więcej, w rejonie Tuqu władze izraelskie kontrolują dostęp do wody, co prowadzi do niedoborów dla palestyńskich rolników, podczas gdy osiedla żydowskie mają zapewniony stały dostęp do wody pitnej i nawadniania.

Przy pudrowaniu noska warto pomyśleć, że marka L'Oréal wykorzystuje minerały z Morza Martwego pochodzące z okupowanych terytoriów oraz przyznaje nagrody izraelskim instytucjom powiązanym z badaniami wojskowymi. Jej spółka zależna Garnier również przekazywała produkty izraelskim żołnierzom.

Wiele supermarketów sprzedaje produkty, które pochodzą z nielegalnych osad na Zachodnim Brzegu. Firmy ukrywają to poprzez skomplikowane łańcuchy dostaw i wprowadzające w błąd etykiety. Nie szkodzi. Blisko dwa lata temu palestyński student Ahmed Bashbash uruchomił bezpłatną aplikację o nazwie „No Thanks", która umożliwia konsumentom skanowanie kodów kreskowych produktów w celu ustalenia, czy mają one powiązanie z Izraelem. W ciągu pierwszego miesiąca od premiery apka została pobrana przez 100 tys. użytkowników. Aktualnie ilość pobrań przekroczyła 5 mln.

Nie ma się co oszukiwać. Koncerny maczające brudne paluchy w palestyńskiej krwi nie pójdą z torbami. Nikt nie zepchnie swojego Volvo ze skarpy, a użytkownicy programu Windows nie przesiądą się tłumnie na Linuxa w geście buntu. Nie zmienia to faktu, że dzięki raportowi w pewien sposób wzrasta świadomość społeczna, jak Izrael uwłaszcza się na ludzkim nieszczęściu. No i zawsze cieplej na serduszku, że można napsuć krwi kapitalistycznym korpobiurwom od marketingu. Zatem do dzieła.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 691a71369b



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Chcą prezydenta z wielkimi jak dumna Polska politycznymi jajami

GADMAN

Dumny i uprzedzający

Powszechnie znana myśl głosi: „Kryzys polega na tym, że stare umiera, a nowe nie może się narodzić”. Jest znana, bo często cytowana. Bo w jednym zdaniu każdy mieniący się ekspertem „od nawozów i od świata” może uczenie komentować w mediach, że żyjemy na przełomie epok i dlatego trudno dziś coś pewnego przewidzieć.

Polak spuchnięty

Powszechnie już ekonomiści, zwłaszcza historycy ekonomii, zauważają, że ostatnie 35 lat III Rzeczypospolitej było najlepszym czasem dla państwa polskiego i jego obywateli w ostatnim 500-leciu naszej historii. To czas bogacenia się ich na każdym poziomie. Modernizowania się zacofanego jeszcze polskiego społeczeństwa. Czas historycznego sukcesu. Trudnego do zakwestionowania nawet przez prześmiewców, skoro polski dobrobyt i panujący na polskich podwórkach porządek dostrzegają nawet turyści z Czech.

Trzeba przypomnieć, że w 1938 r. poziom materialny obywateli II Rzeczypospolitej sięgał jedynie 40 proc. bogactwa ówczesnych obywateli Republiki Czechosłowackiej. Dziś statystyczny obywatel polski jest statystycznie bogatszy od słowackiego. A bywa – w zależności od metody pomiaru – także bogatszy od czeskiego. Skoro nawet Czesi dostrzegają sukces Polski, a Niemcy ponoć zazdroszczą nam go, to nie dziwmy się, że Polska i Polacy puchną teraz z dumy.

Ci spuchnięci nie chcą już dalej żyć po staremu. Chcą odciąć się od III Rzeczypospolitej zrodzonej w efekcie zmowy elit postkomuszych i opozycyjnych, ale też z Polski Ludowej rodem. Nowi, pełni dumy Polacy chcą teraz zakosztować nowego ustroju. Jaki odpowiada żywotnym potrzebom całego dumnego społeczeństwa na skalę jego możliwości. Ulepionego z tego, co teraz jest nasze, i tylko przez nas wykonanego.

Beneficjentem i twarzą tych dumnych Polaków jest prezydent Karol Nawrocki. Deklaruje, że będzie rządził z ich mandatu i w ich imieniu. Dlatego zamierza wetować niemiłe im ustawy, zwłaszcza te podwyższające obywatelom podatki. I będzie kierował do sejmu projekty ustaw miłych, podatki obniżających.

Niedawno zapowiedział też posiedzenie Rady Gabinetowej. To gremium, które na mocy art. 141 Konstytucji RP zwołuje prezydent „w sprawach o szczególnej wadze”. Tworzy ją Rada Ministrów, czyli rząd, ale obraduje ono pod przewodnictwem prezydenta. Ale zgodnie z konstytucją taka rada nie ma „kompetencji Rady Ministrów”, czyli uprawnień rządu. Zwyczajowo umożliwiała prezydentowi sygnalizowanie ważnych problemów i pozyskiwanie przez niego informacji o działaniach rządu. Była platformą do dyskusji, uzgadniania wspólnego stanowiska i strategii działania obu ośrodków władzy. Bo jej postanowienia mają jedynie charakter polityczny, nie są prawnie dla ministrów wiążące.

Nowa konstytucja

Tak było do czasów prezydenta Nawrockiego. Ten jednak czuje się pomazańcem woli wyborczej polskiego narodu. Wie, że konstytucja tworzy jedynie ramy prawne dla prawa niższego rangą (np. ustaw) i zwyczajów politycznych.

Na kształt ustaw prezydent Nawrocki wpływ zgodnie z konstytucją ma, zaś zwyczaje polityczne może zmieniać, jak tylko mu się spodoba. Nawet musi je zmieniać, bo jest pomazańcem dumnego narodu, który rzyga już dotychczasowymi elitarnymi konwenansami. I chce aktywnego prezydenta z wielkimi jak dumna Polska politycznymi jajami. Nietrudno przewidzieć, że prezydent Nawrocki wprowadzi zwyczaj odpytywania ministrów, recenzowania ich pracy i wydawania im poleceń.

Cóż z tego, że zgodnie z konstytucją jego polecenia będą bezprawne i niewiążące dla ministrów. Dumny naród polski nie musi tego wiedzieć albo nie będzie wiedzieć. Skoro ta konstytucja ogranicza działania ich pomazańca, to trzeba zmienić konstytucję. Zwłaszcza że nie wybrało jej niedawno 10 mln dumnych Polaków jak prezydenta Karola.

Oczywiście drugie 10 mln obywateli, którzy nie głosowali na dumnego Karola, tylko na kandydata aktualnej koalicji rządzącej, może stworzyć front obrony tej konstytucji. Jeśli tak się stanie, to będą jak ten pies pogrzebany.

Przy szacunku dla obecnej konstytucji i sympatii dla jej twórców wymaga ona już zmiany. Prawie 30 lat minęło od jej uchwalenia. W tym czasie wielce zmieniła się Polska, jej polityczny świat, otaczający nas świat polityki. I gospodarczy też.

Obowiązująca dziś konstytucja zakłada równowagę władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej. Współdziałanie ich i samoograniczanie się, kiedy wymaga tego dobro państwa polskiego. Stworzyła ona oryginalny, mieszany system polityczny. Nie w pełni kanclerski i nie całkowicie prezydencki.

Pisana była przez generację polityków i prawników, którzy teraz już wymierają. Idealistów wierzących w prymat interesów państwowych nad partyjnymi. Nowi politycy uformowani w nowych czasach utożsamiają swój interes partyjny z interesem narodu albo społeczeństwa. Preferują szybkość i skuteczność działania ponad kohabitacją ośrodków władzy oraz wymagającymi czasu kompromisami. Dlatego mieniąca się demokratyczną i proeuropejską obecna koalicja rządząca nie powinna dać wpuścić się w obronę konstytucji szlachetnie brzmiącej, ale niekompatybilnej z nową rzeczywistością. Powinna stworzyć jej nowy projekt. Zachować demokrację parlamentarną. I wybrać pomiędzy silnymi rządami premiera kierującego ministrami a alternatywnymi rządami prezydenta i jego ministrów. Jednoznacznie wzmocnić władzę jednego kosztem drugiego. Zaprezentować nowe rozwiązanie, a nie bronić systemu z czasów politycznej młodości ich starych liderów.

Wojna pałaców, bieda chat

Nietrudno przewidzieć, że do wyborów parlamentarnych czeka nas polityczna wojna dwóch pałaców. Dużego – prezydenckiego – z małym – premiera. Ponieważ dziś konstytucyjnie silniejszą władzę ma premier, to **prezydent Karol będzie wykorzystywał wszystkie swe konstytucyjne uprawnienia, aby propagandowo zwalczać rząd i jego wielopartyjną koalicję. I tworzyć zwyczaje polityczne rozpychające zakres prezydenckiej władzy.**

Wszystkie działania Karola dumnego podporządkowane będą obniżeniu popularności wyborczej złego premiera Tuska, jego Koalicji Obywatelskiej i partii koalicyjnych.

Taka wojna doprowadzi do jeszcze większej polaryzacji pomiędzy KO i PiS. Największe straty poniosą zapewne mniejsi koalicjanci premiera i jego partii. Niewykluczona jest dekompozycja, czyli rozwałka dotychczasowej polskiej sceny politycznej jeszcze przed wyborami parlamentarnymi.

Zwłaszcza na prawicy, gdzie coraz bardziej aktywna generacja młodszych polityków może stworzyć formację jednoczącą generacyjnie młodszy PiS z konfederatami. Bez prezesa Kaczyńskiego i jego dziadersów. Pod patronatem prezydenta Karola.

Zgodnie z obietnicami prezydent Nawrocki będzie wetował wszystkie ustawy wprowadzające nowe podatki dla dumnych Polaków i inicjował ustawy obniżające im już te istniejące. Ochroni im transfery socjalne. Zabierze nie-Polakom, zwłaszcza Ukraińcom. Taką zgotuje im polską gościnność. Jednocześnie każda jego Rada Gabinetowa, każde jego publiczne wystąpienie, stanie się trybuną dla prezydenckich apeli o zwiększenie budżetowych wydatków na zbrojenia i wielkie budowy dumnego kaczyzmu. Jak zmitologizowany już politycznie Centralny Port Komunikacyjny.

Nie poprze zwiększenia akcyzy na alkohol i podatku na napoje silnie nafaszerowane cukrem i jednocześnie wykona serię pompek, aby zachęcić dumnych Polaków do walki z powszechną już otyłością.

Będzie kreować się na wiecznie antyelitarnego chłopaka z ludu i proponować rządowi kosztowną dla budżetu ustawę zwalniającą z podatków rodziny wielodzietne. Ustawę korzystną dla najbogatszych obywateli, także nie-Polaków. Będzie krytykować Unię Europejską, że jest antypolska, i krytykować rząd, że źle wydaje pozyskane stamtąd dotacje. Zrobi wszystko dla realizacji interesów politycznych bliskich mu PiS i Konfederacji, zawsze opakowując swe działania w antyelitarną i patriotyczną frazeologię. Zrobi tak, bo zna nie tylko myśl komunisty Antoniego Gramsciego: „kryzys polega na tym, że stare umiera, a nowe nie może się narodzić. Zna też jego koncepcję o hegemonii kulturowej potrzebnej dla zdobycia i zachowania władzy i sprawnie ją praktykuje. Tworzy wizję nowej dumnej Polski i dumnych Polaków i skutecznie teraz ogrywa nią politycznie bezwizyjnego premiera Tuska i jego skłóconych koalicjantów. Zepchniętych do narożnika obrońców starego, coraz bardziej niechcianego przez nowe generacje wyborców porządku politycznego.

PIOTR GADZINOWSKI

PLURALIS MAIESTATIS

Kogucie wzmożenie

Kto się czubi, ten się lubi

Zimno. Synoptycy zapowiadają śnieg w Tatrach. Bociany odleciały. Jeszcze trochę, a wilcy przyjdą. I będzie jak w filmie Marka Koterskiego „Nic śmiesznego”. Ech, śmiejmy się, póki to jeszcze dozwolone!

Ja dostałam napadu rechotu, kiedy w minionym tygodniu „Wprost” doniosło, że zdaniem anonimowego rządowego informatora „Marcin Kierwiński, minister spraw wewnętrznych i administracji, i Waldemar Żurek, minister sprawiedliwości, nie wychodzą z ofensywą. Minister sprawiedliwości co prawda się stara, ale ciągle na przeszkodzie stoi mu prawo”. Znaczy miało być wzmożenie, a jest blamaż. Ja się nie mogę zgodzić, że chłopaki z ofensywą nie wychodzą. Zapewne nie może się z tym zgodzić i sędzia Dagmara Pawełczyk-Woicka. Szefowa KRS czy neo-KRS, jak kto woli. Ta, co w jedwabnych rękawiczkach nasłała na Żurka robota sprzątającego, aby Żurka trącił i uszkodził, kiedy ten opuszczał WC wgapiony w komórkę – filmik z morderczej akcji stary, ale wciąż dostępny w internecie. Pawełczyk-Woicka & Żurek – aż chce się napisać: kto się lubi, ten się czubi! On, męski mężczyzna po Technikum Leśnym w Brynku, ona – kobieta o oczach łani… I tak 19 sierpnia nasi demokraci próbowali zajumać to i owo z KRS (neo-KRS) metodą „na kuriera”. „Z tego, co zdołałam ustalić, to przyszło dwóch panów, prawdopodobnie wjechali na parking wewnętrzny, oszukując ochroniarza i mówiąc, że mają jakieś dokumenty z Sądu Najwyższego do Krajowej Rady Sądownictwa, po czym próbowali uzyskać dostęp do pomieszczeń w siedzibie Krajowej Rady Sądownictwa, lecz bezskutecznie. Mieli sobie wyjąć sami karty dostępu przeznaczone dla kurierów i to są karty, które nie otwierają pomieszczeń” – zeznała Pawełczyk-Woicka Marcinowi Wikło na antenie telewizji wPolsce24 tuż po owym włamie. I dodała: „Oczywiście to jest zachowanie nie tyleż absurdalne, co może być oceniane w kategoriach prawno-karnych, ale ja bym nie używała słowa »zamach«, bo to już jest przesadne słowo, natomiast no tak się poważni ludzie nie zachowują”.

Czy czasem nie było kiedyś takich badań socjologicznych, z których wynikało, że kobiety najbardziej boją się, iż mężczyźni mogą je zabić, a mężczyźni najbardziej boją się, że kobiety mogą ich ośmieszyć? Jeśli tak, to Pawełczyk-Woicka wyrasta na pierwszą petardę prawej strony polskiego sądownictwa. Całkiem niedawno minister sprawiedliwości Waldemar Żurek, niewątpliwie realizując jakieś swoje fantazje, wytrzepał na X komentarz o naszej Sędzi Łani: „Pani Pawełczyk-Woicka uśmiechała się do mnie w środę w parlamencie zarazem czarująco, jak i lękliwie”. I oberwał dzwona zwrotnego od Pawełczyk-Woickiej: „Mówiłam, że mitoman. A do tego infantylny”.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Z kronikarskiego obowiązku przypomnę, że Sędzia Łania od 2000 r. należała do Stowarzyszenia Sędziów Polskich Iustitia. W latach 2009––2016 była wiceprezeską jego krakowskiego oddziału. W 2018 r. została karnie wykluczona z Iustitii, bo ubiegała się o miejsce w neo-KRS.

W sumie potwierdza to moje osobiste obserwacje – że Iustitia i neo-sędziowie to jeden chuj. Raz walczą ze sobą, raz gruchają do siebie.

Ja na przykład obserwuję zblatowanie się ze sobą sędziów neo i Iustitii w IV Wydziale Karnym Sądu Rejonowego Łódź-Śródmieście w Łodzi. O Dagmarze Pawełczyk-Woickiej trzeba napisać jeszcze tyle, że 18 kwietnia 2018 r. wydała zarządzenie, na mocy którego radykalnie ograniczono możliwość wstępu dziennikarzy na teren Sądu Okręgowego w Krakowie. Tak nam robić nie wolno – my gryzipiórki też chcemy żyć jak każdy. I wykonywać robotę, do której Bóg nas stworzył – pięknymi i inteligentnymi. Z żebra Lewiatana. Przeciwko decyzji Pawełczyk-Woickiej sprzeciw wnieśli rzecznik praw obywatelskich i Helsińska Fundacja Praw Człowieka.

Zastanawiam się, czy w najbliższym czasie czeka nas bardziej majestatyczny niż „kurierski” wjazd przedstawicieli ministra sprawiedliwości lub samego ministra do KRS (neo-KRS)? Wzmożenie czy blamaż? Ważne, że sierpień jeszcze jest, a krew nie jest wodą. Jak się panie pracujące w sądach, KRS i innych chujach mujach zapatulą w zwoje i szaliki, to nie będzie takiego spektakularnego efektu z cyklu „bierzemy brankę!”. Jesień studzi tzw. entuzjazm płciowy. A napisałam o tym, bowiem w nasze upalne wakacje przesiedziałam swoje w sądach i naoglądałam się takiej ilości roznegliżowanych kobiecych sędziowsko-asesorskich ciał, że przyszło mi na myśl, aby chasydką w turbanie i z kiecą do kostek zostać. Bo ja zawsze w kontrze muszę być! Ach, taka moja choroba! Kobitki urzędowe gruchają znad cycków, udami świecą, na koturnach opalone łydki gimnastykują, a faceci urzędowi obchodzą te swoje stadka jak koguty. Koguty! Koguty! Koguty! A potem… Na prześcieradło czy pod togę? I oto jest pytanie w kwestii polskiego letniego sądownictwa najważniejsze. Śmiejmy się!

IZABELA SZOLC

eprasa.pl 691a71369b

Lepkie marzenie

Zanim posypie się Łódź

Prezydent Polski Lolek Nawrocki zapowiedział zwołanie Rady Gabinetowej. 27 sierpnia rozpoczną się Rozmowy Zwaśnionych dotyczące budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego, stanu finansów publicznych i stanu rolnictwa. Przypomnijmy, że już dzień po zaprzysiężeniu, tj. 7 sierpnia, Nawrocki odwiedził Kalisz, gdzie podpisał projekt ustawy, która przywraca pierwotny plan połączeń kolejowych CPK – oparty na tzw. szprychach, czyli koncepcji, aby szybkie połączenia kolejowe nie ograniczały się tylko do dużych miast kraju (jak zakłada libkowy projekt rządowy), a zwalczały wykluczenie komunikacyjne miasteczek. Inna sprawa, czy wszystkie miasteczka naprawdę chcą obok siebie szybkiej kolei mącącej im w krajobrazie? A kolejna rzecz, że Małe Wielkie Miasteczko, czyli Łódź, słysząc skrót CPK, tylko się śmieje w kułak.

Linia numer 85, tzw. Y, ma połączyć Sieradz, Łódź, lotnisko CPK i Warszawę – gdzieś około 2032 r. Na ramionach Y – lewe Wrocław, prawe Poznań. Warunkiem powstania tego cudu jest uprzednie zbudowanie łódzkiego tunelu kolei dużych prędkości. W rzeczonym tunelu, a nawet po szynach równoległych a operujących w kierunkach przeciwnych ciuchcia będzie się rozpędzać do… 160 km/h. Tunel będzie miał długość 4,6 km, a średnicę 14 m, co według biuletynu CPK ma go czynić „najdłuższym i o największej średnicy tunelowym obiektem kolejowym w Polsce wydrążonym jednym odcinkiem”. I tu właśnie chodzi o to wydrążenie.

„Wielka Kaśka” ryje

Wyobraźcie sobie robala operującego w kompletnie zgniłym jabłku… Początek tego tunelu ma być na łódzkiej Retkini – upraszczając – blokowisku z lat 80. XX w. Ale koniec rzeczonego przekopu to już stara, zmurszała Łódź. Spółka CPK informuje, że prace przy rzeczonej okrężnicy już trwają… Trwają? Czy stoją od jakiegoś czasu? Ładnie próbuje się wytłumaczyć ten przedłużający postój „koniecznością wzmocnień geotechnicznych, które mają zniwelować potencjalne osiadanie gruntu” (biuletyn CPK). Nieładna prawda jest taka, że podłódzkie flaki to ni mniej, ni więcej, a ruchome piaski. Dziki XIX-wieczny łódzki przemysł już kompletnie zniszczył strukturę wodą gruntu. Dodajmy, że nieomal cała zabudowa starego centrum Łodzi – czy fabryki, czy kamienice – to obiekty pozbawione fundamentów. Dlaczego? Bo taki był zwyczaj ówczesnego europejskiego budownictwa fabrycznego. Bo tak było szybciej i taniej. Bo że Łódź stoi na ruchomych piaskach, wiedzieli XIX-wieczni inżynierowie, bo XXI-wieczni to już niekoniecznie.

Można spokojnie napisać, przeglądając lokalną prasę, że miesiąc w Łodzi, w którym nie pierdolnie jakaś kamienica, to miesiąc stracony dla rozrywki, której tu tak bardzo potrzebujemy. I nie mam na myśli tylko spadających balkonów. Tak było kiedyś, nim miasto wzięło się za rycie w ziemi. Dzisiejszą atrakcyjnie survivalową sytuację miejską spowodowało odpalenie dwóch tarcz do rycia w zgniłym jabłku. Jedna tarcza nazywa się Faustyna (tak, tak od tej św. Faustyny gruźliczki) i ma ona stworzyć podwaliny pod tzw. łódzkie metro. Druga tarcza to Katarzyna (od św. Katarzyny Aleksandryjskiej) ma wydłubać miąższ na potrzeby CPK. Ale „Wielka Kaśka” nie jest przecież św. Ritą, czyli patronką rzeczy beznadziejnych!

CPK informuje w oficjalnych komunikatach: „Planowane jest też przygotowanie zabezpieczeń strukturalnych mających na celu zwiększenie stabilności i bezpieczeństwa budynków. Najlepszym przykładem na prace wzmacniające budynki jest Łódzki Dom Kultury, gdzie zakończyły się już prace zasadnicze przy wzmacnianiu fundamentów za pomocą mikropali oraz kolumn jet grouting stanowiących dodatkowe punkty podparcia konstrukcji. Wszystko z myślą o niezbędnym zabezpieczeniu ŁDK przed budową głębokiej na około 8 pięter komory odbiorczej Fabryczna dla tarczy TBM i rozpoczęciem drążenia tunelu CPK, który częściowo będzie przebiegał pod budynkiem”.

Plebs na peryferia

A w Łodzi ludzie rechoczą i się wkurwiają. Po pierwsze do tzw. opinii publicznej dotarła nieoficjalna opinia rajców miejskich, że jak stare centrum miasta pierdolnie przy drganiach tarczy Kasi albo przy drganiach powodowanych już samymi przejazdami pociągów (160 km/h!), to nic wielkiego się nie stanie. Wybuduje się centrum piękniejsze! Przy okazji wywiezie się łódzkich meneli z kamienic na obrzeża miejskie.

Nie wiemy, co prawda, jak ostatecznie będzie z tym wywożeniem nieestetycznego plebsu, bo może być słabo. Trzeba będzie stawiać jurty pod ratuszem albo namioty na całej Piotrkowskiej (główna ulica miasta, 4,2 km długości) i oto z Łodzi będzie Waszyngton bezdomnych? Od 1 stycznia 2025 r. gminy są zwolnione z poszukiwania lokali zastępczych dla lokatorów mieszkających w budynkach wymagających rozbiórki lub remontów. Obowiązek ten przerzucono na tzw. kamienicznika. A kamienicznik może powiedzieć: nie mam, nie dam! I w sumie to można mu skoczyć – byle tobołek z gratami się przy tym nie rozwiązał. Sprawą zajął się rzecznik praw obywatelskich. „W ostatnich 20 latach zwiększył się zasób budynków prywatnych zasiedlonych przez najemców z tzw. przydziałów administracyjnych, głównie z powodu reprywatyzacji. Natomiast stan techniczny budynków stanowiących własność prywatną w tym okresie nie poprawił się. Upływ czasu i w większości przypadków brak możliwości sfinansowania przez właścicieli gruntownych remontów mogły jedynie pogorszyć stan budynków przejętych spod zarządu publicznego” – mówił w grudniu 2024 r. portalowi muratorplus.pl zastępca RPO Stanisław Trociuk. I dodał: „Wydaje się zatem, że czasowy charakter regulacji z art. 32 ustawy (ustawy o ochronie praw lokatorów – red.) nie przystaje do rynkowych realiów. Ani stan techniczny budynków przejętych przez spadkobierców dawnych właścicieli, ani wciąż niewystarczająca dostępność mieszkań w stosunku do potrzeb obywateli nie uzasadniają zwolnienia gmin z obowiązku zapewnienia lokali zamiennych. Nie sposób też przewidzieć, kiedy okaże się zbędna regulacja mająca na celu usunięcie skutków decyzji administracyjnych o przydziale i powstałych w czasie publicznej gospodarki lokalami zaniedbań stanu budynków.” Przyznacie, że w gnijącym jabłku jest to dodatkowa komplikacja. A tarcza Katarzyna sobie stoi po tym, jak jebnęła w zeszłym roku kamienica przy ul. 1 Maja…

Skąpani w gównie

Niezorientowanym w topografii Łodzi wyjaśnię, że tarcza jakoś przeszła pod ziemią przy Dworcu Fabrycznym czy też nowym Dworcu Fabrycznym (wzorowanym na berlińskim). Przy okazji budowania DF miasto wyburzyło w okolicy wszystko jak leciało. Dalej nie jebnął Łódzki Dom Kultury, bo wzmocniono jego konstrukcję. Dalej jest park, czyli drzewa i alejki, a dalej – STOP!!! Bo jebnęło.

Pomijam już taki drobny szczegół – choć istotny oraz proroczy – że w okolicy Dworca Fabrycznego są wypasione apartamentowce, a właściciele owych wypasionych apartamentowców, choćby na ul. Wodnej (gdzie mieści się łódzki sanepid), stoją sobie w pięknych ubrankach w kolejce do… barakowozu. Dlaczego? Bo tak dobrze postawiono Dworzec Fabryczny z flakami, że od czasu do czasu gnijące jabłko dostaje wodno-ściekowego świra i struga mętnej wody oraz gówna rozrywa asfalt na ul. Wodnej i tnie pod niebiosa… A jednak Bóg istnieje! A i inspektorzy sanepidowscy się nie nachodzą, acz przecież bogatemu nie można powiedzieć, że śmierdzi kupą.

W każdym razie, kiedy zdarza mi się jechać taksówką przez ul. 1 Maja do swojego prawnika (kurs Bałuty–centrum), to nieomal zawsze zastanawiamy się z taksiarzem: jebnie czy nie jebnie taki front kamieniczki na maskę taryfy?

Portal TuŁódź.pl w osobie redaktor Iwony Spodenkiewicz napisał 25 czerwca 2025 r.: „Miesiącami tkwiła bez ruchu. Uśpiona pod ziemią. Nikt nie miał pewności, czy jeszcze się obudzi. Ale w ostatnich dniach wykonawca postanowił zaryzykować. Inżynierowie wcisnęli guzik. I… poszło! »Wielka Kaśka« odpaliła. Wykonała kilka kontrolnych obrotów. Wszystko działa”. To tzw. lead jest, bo dalej: „To jeszcze nie jest powrót do drążenia, ale ważny krok. Sprawdzono, czy uśpiona od miesięcy tarcza jest gotowa do działania. Test zakończył się sukcesem. Nie oznacza to jednak, że wiadomo, kiedy znów pełną parą ruszy do pracy. (…) W trosce o bezpieczeństwo wstrzymano prace. Wykonawca rozpoczął wzmacnianie gruntu oraz dodatkowe badania geologiczne. Ich wyniki będą kluczowe. Nie tylko dla samego tunelu, ale i decyzji dotyczących przyszłości części zabudowy w tym rejonie. Może się zdarzyć, że konieczne będzie wyburzenie kilku kamienic”. Trzymają nam się w tej Łodzi dowcipasy, nie? Ale trzeźwo możemy powiedzieć reszcie Polski – oj, długo sobie jeszcze poczekacie czy to na Y, X, czy na inne Z…

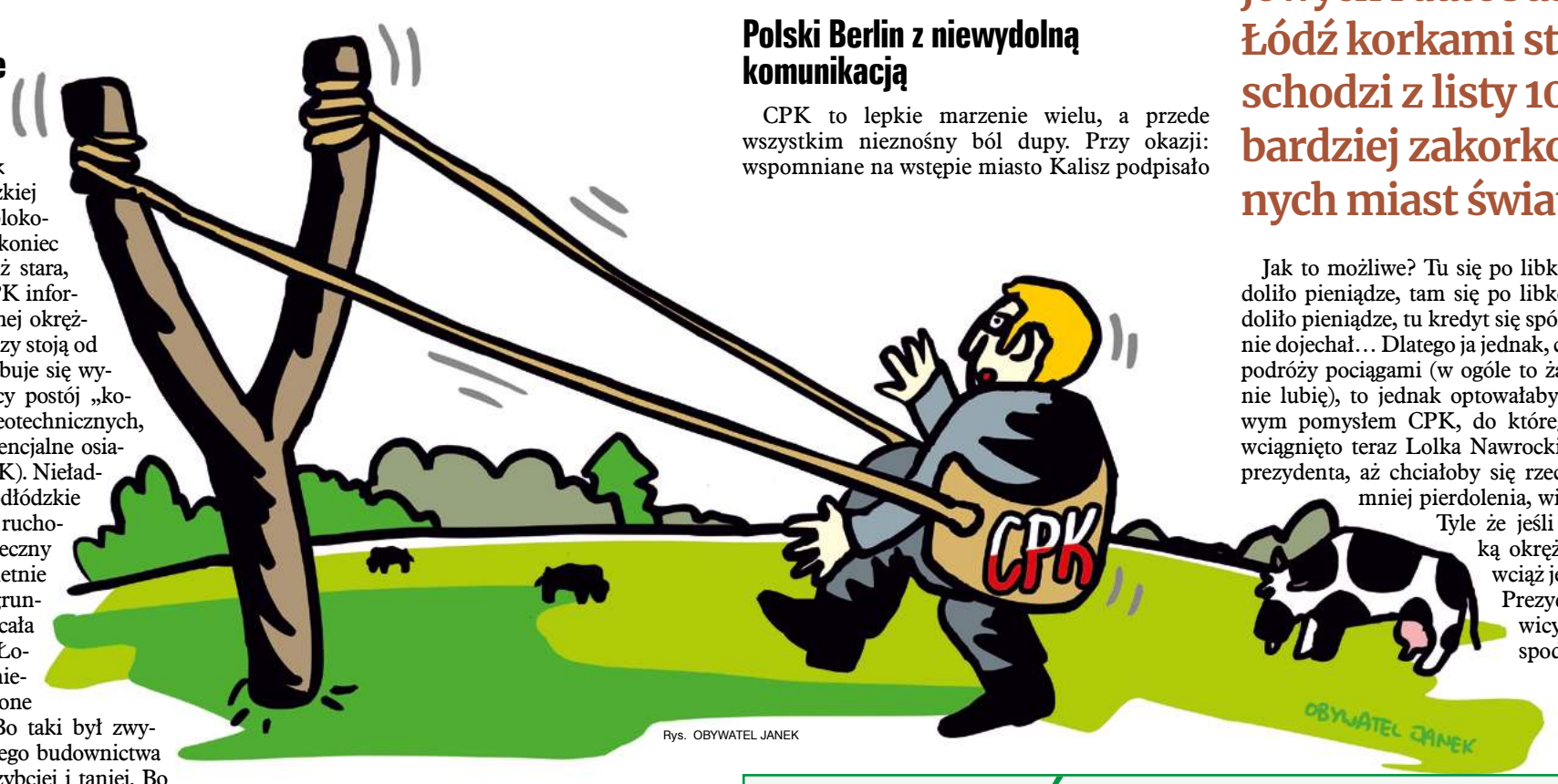
Polski Berlin z niewydolną komunikacją

CPK to lepkie marzenie wielu, a przede wszystkim nieznośny ból dupy. Przy okazji: wspomniane na wstępie miasto Kalisz podpisało umowę – na chwilę przed wizytą Lolka Nawrockiego – że gdyby utrzymała się wersja rządowa CPK (czyli szybko, szybko, ach, jak szybko) w przeciwieństwie do prezydenckiej (czyli nawet najmniejszego nie zostawimy na pustym peronie), to CPK zbuduje Kaliszanom „tzw. bypass oraz dworzec przesiadkowy”. Otóż – jak napisał „Newsweek” – „część szybkich pociągów Kalisz ominie, część będzie się zatrzymywać i dowozić pasażerów do CPK”. Trochę to dla mnie mętne jest – ja nigdy nie miałam kolejki elektrycznej i najwyraźniej redaktor Dariusz Ćwiklak też nie. Powiem wam jednak, że pomysły z bypassami, dworcami przesiadkowymi etc. są mi znane. Jak i ta cała libkowa narracja. Otóż w Łodzi komunikacja miejska miała śmigać jak... w Berlinie. Tak, tak, komunikacja jak w Berlinie, dworzec jak w Berlinie etc. Pod warunkiem wszakże, że berlińskim wzorem wzniesie się tutaj tzw. Dworzec Tramwajowy Centrum i kilka innych pomniejszych architektonicznych wyrzygów tego typu. I wzniesiono! Monstrum w stylu pretensjonalno-neogotyckim zwane dziś przez wszystkich Stajnią Jednorożców. Czekam jeszcze na Bramę Brandenburską, bo na razie mam… Bramę Miasta (zespół dwóch biurowców w rejonie Dworca Fabrycznego – red.).

Dziś mamy też najdroższe bilety MPK w Polsce i najwolniejszą komunikację w Polsce oraz obciętą liczbę kursów tramwajowych i autobusowych. Łódź korkami stoi – nie schodzi z listy 10 najbardziej zakorkowanych miast świata.

Jak to możliwe? Tu się po libkowemu rozpierdoliło pieniądze, tam się po libkowemu rozpierdoliło pieniądze, tu kredyt się spóźnił, tam kredyt nie dojechał… Dlatego ja jednak, choć nienawidzę podróży pociągami (w ogóle to żadnych podróży nie lubię), to jednak optowałabym za szprychowym pomysłem CPK, do którego promowania wciągnięto teraz Lolka Nawrockiego. Patrząc na prezydenta, aż chciałoby się rzec, że będzie oto mniej pierdolenia, więcej konkretów. Tyle że jeśli chodzi o łódzką okrężnicę, 160 km/h wciąż jest – no pasaran! Prezydentowi z prawicy może się to nie spodobać.

IZABELA SZOLC



Rys. OBYWATEL JANEK

WIEŚCI GMINNE i INNE

Polskie Linie Lotnicze LOT ogłosiły właśnie, że lipiec 2025 r. był najlepszym miesiącem w ich 96-letniej historii. Aż 1,18 mln pasażerów skorzystało z ich usług, co oznacza, że średnio 350 razy dziennie jakiś samolot LOT-u wzbijał się w powietrze. Muszą mieć dużo tych samolotów! Przewoźnik jest na dobrej drodze, żeby pobić rekord wszech czasów i obsłużyć w tym roku 11 mln pasażerów. Polacy tłumnie ruszali do Wilna, Londynu, Amsterdamu, Toronto, Nowego Jorku i Chicago. W jadłospisie LOT-u są także Lizbona, Malta, Reykjavik, Paryż Orly, Marrakesz i Rovaniemi. Brawo, LOT!

Orlen natomiast wyjawił, że w pierwszym półroczu zarobił prawie 6 mld zł na czysto. Prezes Ireneusz Fąfara chwali się, że „uwolnił region od rosyjskiej ropy” i że „7 mln Polaków płaci niższe rachunki za gaz”. Rachunki faktycznie spadły o 15 proc. – całe 1000 zł rocznie. Tyle tylko, że to mniej więcej tyle, ile Orlen zarabia w… 2,6 sekundy. Zapomniał też dodać, że owe miliardy pochodzą wprost ze stacji benzynowych, gdzie – jak wiadomo – kierowcy płacą, a portfele płaczą.

Polacy coraz chętniej kupują chińskie auta. W lipcu marka MG sprzedała się tak dobrze, że wśród klientów indywidualnych wyprzedziła Škodę – dotychczasową królową parkingów pod blokiem. Jeszcze niedawno Octavia była symbolem „klasy średniej z kredytem”, a dziś obok niej stoi MG HS z Państwa Środka. Do polskich umysłów wchodzą też Jaecoo i Omoda – nazwy brzmiące jak w karcie dań z restauracji Złoty Smok. To już realna konkurencja dla Opla czy Volkswagena. No cóż, mimo wszystko… wielka Škoda.

Polska firma Drutex z Bytowa, która, jak sama nazwa wskazuje, produkuje… okna, zostanie sponsorem Bayernu Monachium. Na koszulkach niemieckich piłkarzy i bandach reklamowych pojawi się logo Druteksu. Słusznie! Trzeba w końcu rozwiązać problem tego sezonowego państwa między Renem a Sprewą, którego mieszkańcy, zajadając kiełbasę i popijając piwo, rozprawiają o dziwacznych ideach. Kto kontroluje okna, ten kontroluje widok. Brawo, nasi!

Prawda jest bowiem taka, że według najnowszego „Komunalnego Raportu Finansowego 2025” Fundacji Bertelsmann niemieckie gminy zamknęły 2024 r. rekordowym deficytem – blisko 25 mld euro. Ujemne salda odnotowano w 12 z 13 landów (wyjątkiem była Turyngia), a największe dziury budżetowe miały regiony o największej liczbie mieszkańców, m.in. Nadrenia Północna-Westfalia, Bawaria i Dolna Saksonia. Biorąc pod uwagę, że Niemcy mają ponad dwa razy więcej ludności niż Polska, porównywalny w naszych warunkach deficyt samorządów wynosiłby ok. 12 mld euro, czyli ponad 50 mld zł. Dla porównania: polskie samorządy w 2024 r. zakończyły rok z deficytem niespełna 0,82 mld zł, a więc kilkadziesiąt razy mniejszym.

Fujitsu, technologiczny kolos, który w Polsce chełpił się blisko 4 tys. pracowników, odkrył, że można sporo zarobić wyrzucaniem ludzi. W lipcu poszły na listę 834 osoby. Przez ćwierć wieku firma udawała stabilnego pracodawcę. Teraz – jak donosi GoWork – przy wsparciu konsultantów od wszystkiego i niczego

eprasa.pl 691a71369b

Razem w natarciu

Jak pisały się petycje

„Wnosimy o nadanie nazwy »Podlaska« całej ulicy łączącej ulicę Piastowską z ulicą Konstantego Ciołkowskiego. Obecnie ulica składa się z trzech odcinków. Początkowy fragment od strony Piastowskiej nosi nazwę »mjr. Zygmunta Szendzielarza ps. Łupaszko«" – piszą na początku petycji do Rady Miasta Białystok członkowie okręgu białostockiego partii Razem. I dodają: „Decyzję w tej sprawie podjęto głosami radnych w 2018 r. Kolejny fragment – sięgający od ulicy Łupaszki do krótkiego odcinka nowej ulicy za skrzyżowaniem z ulicą Sudecką – od 2021 r. to ulica „Podlaska". Obecnie do nazwania jest nowo zbudowany odcinek – od Sudeckiej do Konstantego Ciołkowskiego. Wnioskujemy, by nadać mu nazwę „Podlaska" a jednocześnie ujednolicić nazewnictwo całej ulicy na „Podlaską".

Karolowi Nawrockiemu, tej nowej miłości Pauliny Matysiak po prawackiej stronie, będzie pewnie przykro, ale to oczywisty ruch partii, która nie ma specjalnych zasobów finansowych ani TVN-u na rozkaz, a już rozpoczęła na Białostocczyźnie długi marsz po głosy elektoratu w wyborach 2027 r. Szczególnie tego mniejszościowego, prawosławnego, stanowiącego circa jedną trzecią mieszkańców stolicy Podlasia.

Uzasadnienie do ewentualnego projektu uchwały też dali mocne, obliczone na wkurw pisowskich radnych, którzy nie mają tym razem większości w Radzie Miasta Białystok, bo rządzi nią Koalicja Obywatelska. I są w niej też i prawosławni. „Z dokumentów historycznych wynika, iż w 1944 roku na jego rozkaz („Łupaszki" – red.) dokonano pacyfikacji litewskiej wsi Dubinki, gdzie zginęło 27 osób, w tym kobiety i dzieci" – piszą słusznie członkowie Razem. „Do podobnej sytuacji doszło w roku 1945 na terenie Polski we wsi Potoka (obecna gmina Michałowo), gdzie oddział Zygmunta Błażejewicza ps. Zygmunt zamordował w dniu 16 maja czterech dorosłych mieszkańców tej wsi, a następnie w dniu 22 maja całkowicie wieś spalił. Pożar spowodował śmierć trójki małych dzieci i jednej osoby dorosłej. Oddział ten podlegał majorowi Zygmuntowi Szendzielarzowi ps. Łupaszko. Do dziś wśród historyków trwa dyskusja co do oceny mjr. Zygmunta Szendzielarza ps. Łupaszko, pod którego komendą działał wspomniany wyżej oddział Zygmunta Błażejewicza, część z nich wysuwa wnioski o niezasadności czczenia jego pamięci ze względu na zbrodniczy charakter niektórych działań podlegających mu oddziałów".

Drugą petycją, którą skierowali do prezydenta Białegostoku Tadeusza Truskolaskiego, wykazali jednak kompletny brak politycznego rozumu. Chodzi o hałas na centralnym placu metropolii generowany od czasu do czasu przez powstające jak grzyby po deszczu wspólnoty protestanckie.

Uliczni ewangeliści, którzy od kilku miesięcy za pomocą sprzętu nagłaśniającego głoszą na Rynku Kościuszki Dobrą Nowinę, to oczywisty wróg Kościoła katolickiego odbierający im powoli acz systematycznie owieczki i kasę, koncentrujący się w swojej religijnej propagandzie na atakowaniu naszego rodzimego papocezaryzmu. I to nie powinno lewicowcom z Razem umykać z pola widzenia.

Andrzej Gawryluk, działacz lokalny, na konferencji prasowej w tej sprawie przejawił nietrafioną jednak idiosynkrazję do imperializmu, bo porównał rzeczonych uliczników do amerykańskich telewizyjnych kaznodziejów. Ale to przecież nie tamte pieniądze za sprzedaż bajek z mchu i paproci; Nawrocki to nie Trump zaprzyjaźniony z niektórymi z nich, jak jego totumfacki z Brazylii, były prezydent Jair Bolsonaro (fajny ten film „Apokalipsa w tropikach" reżyserki Petry Costy na Netflixie). Ledwie jego przyszły namiestnik w Polsce. I Pałac Prezydencki to raczej nie Biały Dom, chociaż jego nowy właściciel bardzo by pewnie chciał. Tam się zresztą umościł słynny ksiądz Jarosław Wąsowicz, kapelan katolicki, żaden tam, za przeproszeniem, telewizyjny pastor.

Razem tego pewnie nie wie, ale ci hałaśliwi ludzie to nierzadko osoby pokiereszowane przez liberalny system i tradycyjne Kościoły, które przestały chlać i ćpać. Albo wyszły z długów, pozakładały rodziny, czy odnalazły sens w życiu, jaki by się on nam nie wydał infantylny.

Chyba to trochę rozumie poseł z Razem Maciej Konieczny, bo delikatnie zniuansował swoją wypowiedź na konferencji. – Mieszkańcy Białegostoku chcą spokojnie korzystać z Rynku, chcą móc się tam relaksować, nie będąc narażeni na ciągłe, powtarzalne wystąpienia. Nie ma znaczenia, czy to są wystąpienia natury religijnej czy komercyjnej, czy chodzi o wypędzanie szatana czy reklamowanie napojów gazowanych. Chodzi o to, że Rynek ma służyć mieszkańcom Białegostoku do tego, żeby mogli spokojnie się tam zrelaksować – powiedział.

Towarzysze! Pamiętajcie przy tym, że w konstytucji stoi jak wół, że gwarantuje ona każdemu wolność sumienia i religii. Artykuł 53 tak bowiem stanowi.

Obejmuje to wolność wyznawania lub przyjmowania religii według własnego wyboru oraz uzewnętrzniania jej indywidualnie lub z innymi, publicznie lub prywatnie, przez uprawianie kultu, modlitwę, uczestniczenie w obrzędach, praktykowanie i nauczanie.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Nie bądźcie więc zamordystami. Podejdźcie, pogadajcie, poproście o przykręcenie gałki, wejdźcie w twórczy dialog z inaczej myślącymi. Nie bądźcie jak Kaczyński z Tuskiem, jak rządząca koalicja z Nawrockim.

JMP

Ernst & Young) skupia się już nie na nowych rynkach czy innowacjach, tylko na matematyce zwolnień grupowych. To nie wróży niczego dobrego. Bo jeśli „rozwiązaniem" w Fujitsu Technology Solutions mają być rozwiązania, to może wkrótce jedynym działem, który przetrwa, będzie dział kadr, żeby wręczać kolejne wypowiedzenia.

▮ Ponad 16 tys. firm dostało pozwy o zwrot subwencji z Tarczy Finansowej (tej przeciw COVID). Najpierw rząd rozdawał pieniądze na lewo i prawo, a teraz Polski Fundusz Rozwoju żąda zwrotu. Powód? „Coś się mogło nie zgadzać". Co konkretnie? Tego już nie wiadomo. Algorytmy coś tam policzyły, CBA pomruczało i już przedsiębiorcy dostają pisma, że mieli „nie taki status" albo że ZUS-owi wisieli 5 zł. Morał z tej bajki: jak masz kłopoty, to nie idź do państwa po pomoc, bo tylko sobie zaszkodzisz. Lepiej od razu weź sznurek i do lasu. Przynajmniej zaoszczędzisz na znaczku pocztowym.

▮ Największy parking Europy już działa na granicy w Terespolu. Ponad 4,5 tys. samochodów i 130 autobusów stoi codziennie w kolejce do Polski z Białorusi. Bez toalety, klimatyzacji i z limitem wjazdu: 30 proc. dziennie. Dzięki tej blokadzie graniczącej z humanitarną katastrofą straż graniczna ujęła już w tym roku 350 kurierów pilotujących nielegalnych emigrantów.

▮ Dramat na Zakopiance! GDDKiA zlikwidowała jedyne przejście dla pieszych pod Piątkową Górą. Górale, zamiast iść do kościółka, muszą teraz lewitować. GDDKiA tłumaczy, że przejście było niebezpieczne. Na tunel albo kładkę „nie ma pinindzy", które na likwidację przejścia jednak jakoś się znalazły. Logika godna juhasa: było przejście – było niebezpiecznie, nie ma przejścia – nie ma problemu. Proste jak Zakopianka.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

▮ Od 1 października opłata za odbiór odpadów w Toruniu wzrośnie z 20 do 25 zł od osoby. Miasto tłumaczy podwyżkę rosnącymi kosztami odbioru i zagospodarowania odpadów. Urzędnicy uspokajają, że to nadal niewiele, bo w innych miastach wojewódzkich drożej: Bydgoszcz – 27 zł, Gorzów Wlkp. – 38, Katowice – 35,20. Najniższa stawka to wciąż jednak podwyżka dla mieszkańców, ale, jak wiadomo, porównywanie się w górę zawsze poprawia samopoczucie rządzących. Skoro inni biorą więcej, to przecież i my możemy.

▮ Pożar w nowej siedzibie Komendy Wojewódzkiej Państwowej Straży Pożarnej w Toruniu wydarzył się w minionym tygodniu naprawdę. Gniazdo strażackiej skuteczności stanęło w ogniu. Dziewięć zastępów strażaków pojawiło się błyskawicznie. Mieli do pokonania dystans mniej więcej taki jak z pokoju do kuchni. Teraz do pracy przystąpi komisja ekspertów pożarnictwa. Na razie ustalono już, że akcja gaśnicza przebiegała podręcznikowo. Przyczyna płomieni nie jest jeszcze znana.

▮ Były boss pruszkowskiej mafii Andrzej Z. ps. „Słowik" znów, niestety, za kratami. Tym razem, podobnie jak poprzednimi razami, czyli nawykowo, próbował wymusić 100 tys. zł od właściciela warszawskiego hotelu. Wraz z kompanami o ekskluzywnych pseudonimach „Cycek" i „Pieprzu". Policja kontrolowała przekazanie gotówki. Skończyło się zatrzymaniem na gorącym uczynku. Tyle lat w gangsterskim fachu (to już chyba z trzy dekady), a człowiek wciąż popełnia te same błędy. No i wciąż musi pracować, co dowodzi, że zbrodnia jednak nie popłaca. A może to była po prostu zawodowa kapitulacja i przejście na garnuszek państwa – w więzieniu odzyska przecież stabilizację. Na razie tylko trzy miesiące aresztu.

▮ Policjanci z Międzyrzecza zatrzymali 39-latka, który nocami przebierał się w białe prześcieradło z wyciętymi otworami na oczy i udawał ducha. W tym kamuflażu spuszczał paliwo z ciężarówek. Metoda „na ducha" okazała się kompletnie nieskuteczna głównie dlatego, że prześcieradło było białe i świetnie widoczne w nocy. Gdyby wybrał czarne, historia mogłaby wyglądać inaczej, no ale na filmach przecież duchy są białe. Podczas przeszukania mieszkania policjanci zabezpieczyli „niezbity dowód duchowości" – charakterystyczne prześcieradło. Zatrzymanemu duchowi grozi 10 lat więzienia.

▮ W Zespole Szkół w Wysokiej (pow. łańcucki) tegoroczne wyniki matur okazały się katastrofą: na 25 uczniów do egzaminu dopuszczono 12, a zdał tylko jeden. Zdawalność wyniosła zaledwie 8 proc., co dało szkole 1676. miejsce w rankingu 1680 techników w Polsce. Łańcucki radny Jakub Czarnota uważa, że jest to kompromitacja edukacyjna wymagająca konsekwencji. Problemem była głównie matematyka – paradoksalnie przedmiot dyrektorki szkoły. Radny wskazał też, że gmina dopłaca do utrzymania technikum 1,5–2 mln zł rocznie (umie liczyć). Szkoła broni tradycji, podkreśla wyniki egzaminów zawodowych, a wystąpienie radnego uznała za atak podważający autorytet uczniów i nauczycieli.

RJ

PS Niniejszy przegląd prasy sporządzony został w oparciu o doniesienia dostępne w przestrzeni medialnej i stanowi wyłącznie subiektywny wybór redakcji. Jakiekolwiek utożsamianie zawartych tu treści z rzetelnym opisem rzeczywistości następuje wyłącznie na ryzyko czytelnika. Redakcja nie udziela żadnych gwarancji co do prawdziwości, kompletności ani interpretacji przytaczanych informacji. Wszelkie roszczenia, pretensje i skargi pozostają z góry oddalone – z mocy niniejszego zastrzeżenia. Redakcja nie przyjmuje na siebie żadnej odpowiedzialności w tym zakresie.

eprasa.pl 691a71369b

Przestępcze życie kleru polskiego

Sutanna pełna ufności



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Ksiądz spod Tarczyna, który najpierw zatłukł siekierą parafianina, a potem oblał go benzyną i podpalił, kolejny raz udowodnił, że postrzeganie księży wyłącznie jako przestępców seksualnych jest sporym nadużyciem.

Promile ich się nie imają

W kościele w Rzejowicach, jak to w kościele – cisza. Tak głęboka, że słychać jedynie echa wyroku Sądu Rejonowego w Radomsku, który obnażył kolejny z grzechów proboszcza Tomasza K.

Zacznijmy od końca, czyli od kary: „10 tysięcy złotych grzywny", jak zadecydował sąd. Według prokurator „wysoka kara finansowa w tym przypadku wydaje się adekwatna". Adekwatna do czego? Do tego, że ksiądz Tomasz – nie bacząc na wcześniejszy sądowy zakaz – wsiadł za kółko i pognał przez Wolę Przerębską 7 km od probostwa. Zakaz prowadzenia miał za to, że w maju 2023 r. we wsi Kobiele Wielkie auto proboszcza uderzyło, zadzwoniło i… odjechało. Jak mówią parafianie: „ksiądz się oddalił, bo pewnie śpieszył się na różaniec". Policja była mniej wyrozumiała.

Następnego dnia po zatrzymaniu proboszcz Tomasz zniknął z parafii na miesiąc. Jak tłumaczyli parafianie, „miał problemy psychiczne i musiał je przezwyciężyć".

Wcześniej z kolei ksiądz zasłynął drzemką podczas mszy pogrzebowej. Rozpoczął uroczystość od tyrady na temat źle ułożonych kwiatów, potem wygłosił kazanie i usnął. Wierni, nie mogąc odróżnić, czy to efekt leków, jak twierdził ksiądz, czy może wina, mówili mediom: „ksiądz Tomasz to bardzo dobry człowiek, tylko... chleje". Bo w przeszłości ksiądz Tomasz niejednokrotnie przewrócił się za ołtarzem.

A jak zareagowali jego zwierzchnicy? Otóż arcybiskup Wacław Depo stwierdził we wrześniu 2024 r., że ksiądz Tomasz winny jest czegoś zupełnie innego: „naruszenia szóstego przykazania względem nieletniej". Sprawa, która zaczęła się jeszcze w czasach jego posługi w Częstochowie, znalazła finał w dekrecie uznającym duchownego za winnego. Ale ponieważ odwołał się do Watykanu, kara wciąż czeka na potwierdzenie.

Parafianie z Rzejowic organizują listy poparcia księdza. „Nikt jak on nie dbał o kościół!" – piszą. Ksiądz Tomasz – człowiek niepokorny i, zdaniem niektórych, nieprzytomny – stał się lokalnym bohaterem. Dla jednych jest męczennikiem systemu, dla innych tylko „tym, co chleje, ale przynajmniej ławki w kościele zrobił".

W parafii Krysiaki wierni długo modlili się o cud. Miast niego wydarzył się wyrok. Sąd w Ostrołęce wydał go w sprawie byłego proboszcza parafii Krysiaki oskarżonego o spowodowanie wypadku, w którym ciężko ranna została 16-letnia Magdalena. Mirosław T. został skazany na cztery lata i dwa miesiące bezwzględnego więzienia. Orzeczono też dożywotni zakaz prowadzenia pojazdów. Za to, że 28 lutego 2021 r. ok. godziny 18.00 w Dudach Puszczańskich potrącił dziewczynę. Magdalena wracała z urodzinowego świętowania. Wersja wydarzeń, którą usłyszał sąd, była bardziej dramatyczna niż niejedna gorliwa homilia: panna szła lewą stroną jezdni, światła widziała, ale się nie oglądała. Samochód uderzył ją z tyłu, zarzucił na maskę i szybę, po czym odrzucił w krzaki, z których ledwie się wydostała. Stan dziewczyny był ciężki, badania wykluczyły obecność alkoholu. Trafiła do szpitala w Warszawie, przeszła operację, zapadła w śpiączkę.

Ksiądz w tym czasie nie modlił się z rodziną przejechanej. Naprawiał samochód. Z pomocą znajomych przetransportował auto do Myszyńca, potem pożyczył inne i pojechał do stolicy po mechanika. A kiedy stanął przed sądem, mówił, że nie potrącił człowieka, tylko „coś ciemnego mu wyskoczyło". Wcześniej wystosował komunikat. „Wyrażam najwyższe ubolewanie w związku z zaistniałym nieszczęśliwym zdarzeniem, które miało charakter nieumyślny" – pisał. Obiecywał przeprosiny, naprawienie szkody i gotowość do współpracy. Gdy przyszło co do czego, nie przyznał się do ucieczki z miejsca zdarzenia, nie przyznał się do nieudzielenia pomocy, a jego skrucha zgasła równie szybko jak reflektory po wypadku.

Brukselę nie grzech

W Bytomiu jeszcze długo będą wspominać kwiaty, którymi żegnano ks. Tadeusza podczas jego odejścia z parafii św. Jacka. Ale nie była to kanoniczna peregrynacja ani szczególnie pobożny awans – raczej ciche, karne przeniesienie do Wielowsi. Tam zresztą też nie zagrzał miejsca, bo CBA złożyło mu wizytę o zupełnie nie duszpasterskim charakterze. Potem klecha usłyszał siedem zarzutów prokuratorskich, obejmujących wyłudzenia, pranie brudnych pieniędzy i używanie publicznych środków jak kropidła.

Zaczęło się niewinnie. Projekt rewitalizacji kościoła, budowa świetlicy, wspieranie niepełnosprawnych – normalna działalność duchownego. W aktach prokuratury wygląda to trochę inaczej. Zawyżone faktury, fikcyjne wyceny, przeszacowane maty sceniczne. A wszystko przy dopływie gotówki z Ministerstwa Kultury i urzędu marszałkowskiego, który zażądał zwrotu ponad 20 mln zł.

Centralne Biuro Antykorupcyjne włączyło się do akcji po zawiadomieniu i dostarczeniu dokumentów, które – mówiąc delikatnie – nie były wzorem przejrzystości. Zarzuty zahaczyły więc o wyłudzenie 1,5 mln zł, a całość przewinień rozciągać się miała się na lata 2014–2020 i sumować się do kwoty 30 mln zł.

To nie jedyny duchowny z Bytomia, który znalazł się na cenzurowanym. Ojciec Marek, werbista i były proboszcz parafii św. Małgorzaty, również usłyszał zarzuty. W jego przypadku chodzi o oszustwo i posługiwanie się podrobionymi dokumentami. Choć adwokat zakonnika zapewnia, że jego klient nie przyznaje się do winy, śledczy nie wydają się przekonani. Stąd werbista usłyszał zarzut doprowadzenia do niekorzystnego rozporządzenia mieniem urzędu marszałkowskiego.

Ale wróćmy do ks. Tadeusza. Po tym, gdy opuścił Bytom, trafił do Wielowsi. Tam jednak znów zrobiło się głośno, gdy parafianie zaczęli zgłaszać zastrzeżenia dotyczące jego działalności. Lista była imponująca: opłata za otwarcie kaplicy, za odwiedziny chorych, a nawet… za odblokowanie kłódki na cmentarzu.

Obaj duchowni czekają na procesy. Grozi im po 10 lat więzienia. Obaj nie przyznają się do winy. Bo skubnąć pieniądze Brukseli to wszak dla duchownego żadna wina.

Darowizny od fiskusa

W parafii św. Stanisława Kostki w Płocku wierni nie tylko modlili się o zdrowie i pomyślność, ale – jak się okazuje – również o korzystny zwrot podatku. Przez kilka lat istniał tam bowiem modelowy system duszpastersko-finansowy, w którym wierni przekazywali datki, a proboszcz potwierdzał ich istnienie. Dokumenty świadczące o darowiznach były, ale darów – jak ustaliła prokuratura – nie było. Taki cud podatkowy.

Gdy CBA wkroczyło do akcji w grudniu, zatrzymano 13 osób w całym kraju. Wśród nich: były proboszcz płockiej parafii oraz właściciele firm z Mazowsza. Podejrzewano ich o stworzenie przestępczego układu, który – jak ocenił rzecznik prokuratury – działał od 2018 do 2024 r. i spowodował straty Skarbu Państwa sięgające 4,5 mln zł. „Przeważnie były to osoby majętne albo bardzo majętne, w tym prezesi, dyrektorzy banków i lekarze. Ich roczne dochody sięgały pół miliona złotych, a mimo to decydowali się na przestępną optymalizację podatkową" – tłumaczył prokurator.

Proboszcz nie tylko wiedział o tym procederze, ale – według śledczych – był jego sercem. To on wystawiał zaświadczenia o przyjęciu fikcyjnych darowizn, które następnie pozwalały „darczyńcom" pomniejszać swoje podatkowe zobowiązania. Śledczy ustalili, że w parafialnej księdze pojawiły się rzekome wpływy na kwotę niemal 9 mln zł. Z tych pieniędzy nie kupiono nowych ławek, nie sfinansowano remontu dachu, nie powstało nawet nowe ogrodzenie, ale za to powstało kilka całkiem korzystnych rozliczeń rocznych.

CBA przeszukało domy, biura, zabezpieczyło laptopy, dokumenty i nośniki pamięci w Warszawie, Katowicach, Łodzi, Lublinie, Białymstoku i oczywiście w samym Płocku. Wśród zatrzymanych oprócz księdza byli przedsiębiorcy, z których część – jak podaje prokuratura – przyznała się do winy i złożyła wyjaśnienia.

Proboszcz złożył „obszerne wyjaśnienia", a sąd, mimo wniosku prokuratury, nie zastosował wobec niego aresztu. Duchowny został objęty dozorem policji i musiał wpłacić poręczenie majątkowe. Wiosną areszt wobec niego uchylono, ponieważ – jak wyjaśniła prokuratura – „krąg podejrzanych się zamyka, a część osób dobrowolnie składa wyjaśnienia". W sprawie podejrzanych jest już kilkadziesiąt osób, a łączna wartość zabezpieczonego majątku przekracza 7 mln zł.

Salezjańska inspektoria warszawska, której podlegał duchowny, oświadczyła: „Przyjęliśmy do wiadomości informacje dotyczące zatrzymania byłego proboszcza płockiej parafii. Nieznany jest nam szczegółowy powód tych działań, poza informacjami prasowymi. Jesteśmy gotowi współpracować z odpowiednimi organami".

Wierni parafii św. Stanisława Kostki mówią dziś krótko: „Każdy robi według siebie i każdego Pan Bóg osądza". Bo dla wiernych, tak jak i księdza, oskubanie fiskusa to przecież nie grzech.

Księdzu, co kościelne

W Domostawie, gdzie Matka Boża Królowa Polski patrzy z ołtarza na skromne życie wiernych, proboszcz nie żył skromnie. Przez cztery dekady duszpasterskiej posługi ks. Stanisław K. tak dobrze poznał mechanizmy finansowe, że można by go wysłać na konsultacje do Komisji Nadzoru Finansowego. Zamiast tego – trafił przed sąd.

Zaczęło się, gdy w sieci pojawił się skan wydruku bankowego, na którym widniały dwa przelewy po milion złotych każdy – z konta parafii na prywatne konto proboszcza. Wściekły biskup sandomierski wszczął wewnętrzne postępowanie, a następnie zawiadomił prokuraturę.

Duchowny nie krył zaskoczenia, tłumacząc, że to jego własne pieniądze, które wcześniej przelał do parafii, aby zakupić obligacje. Gdy okazało się, że zakupu nie będzie, przelał je z powrotem. „To był zwykły manewr inwestycyjny" – bronił się ks. Stanisław i dodał, że „chciał dobrze, ale wyszło jak zawsze".

Śledczych to nie przekonało, bo odkryli, że od lat między kontem parafii a kontem księdza trwała ożywiona wymiana środków finansowych. Ba, w 2020 r. Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad przelała na parafię ponad 448 tys. zł jako odszkodowanie za grunt pod budowę drogi S19. Z tej kwoty 434 tys. zł zniknęło w rękach duchownego.

Ksiądz uznał tę sumkę – o czym nie poinformował nikogo – za „niewielką rekompensatę" za wszystkie te lata, kiedy, jak twierdził, wspierał parafię z własnej kieszeni. Problem w tym, że nie potrafił tego w żaden sposób udokumentować.

W sądzie ksiądz nie przyznał się do winy, nie przedstawił żadnych faktur, pokwitowań ani darczyńców, którzy mogliby potwierdzić jego hojność.

Sąd skazał emerytowanego od września 2022 r. duchownego na rok więzienia w zawieszeniu. Do tego grzywna, i obowiązek naprawienia szkody. Prokuratura chciała dwóch lat bezwzględnego więzienia.

Podżyrowany Obajtkiem

Na Kaszubach, w niepozornej parafii pw. Miłosierdzia Bożego w Sasinie, gdzie więcej ludzi chodzi na grzyby niż na zebrania wspólnoty parafialnej, proboszcz po prostu zniknął. Razem z 3,5 mln zł.

Zaczęło się w sierpniu 2016 r., kiedy to ks. Krzysztof objął parafię. Na początku – wzorcowo: remonty, dotacje, witraże w Ciekocinie, rewitalizacja tego i owego. Bywał u niego sam Daniel Obajtek, wówczas prezes Energi, więc i prestiż, i legitymizacja były. Wierni zaczęli ufać. Kiedy więc ksiądz mówił, że potrzeba „na ławki", „na pielgrzymkę do Ziemi Świętej", „na dach" albo „na fotowoltaikę" – otwierali serca i portfele.

„Mówił, że ma problemy z rozliczeniem dotacji i pytał, czy mógłbym pożyczyć pieniądze. Żona pożyczyła mu raz, drugi, trzeci" – wspomina mediom pan Grzegorz. „W potwierdzeniach przelewów pisaliśmy, że to były pożyczki". To nie były datki na tacę, tylko twarde przelewy – dokumentowane, konkretne. W sumie zebrało się 2,5 mln zł od parafian i jeszcze milion z konta samej parafii.

Kiedy przyszło do rozliczenia, proboszcz zamilkł. Najpierw było: „teraz nie mogę", potem: „dajcie mi dwa, trzy dni, wszystko oddam". A po tych dwóch, trzech dniach: cisza. Parafia została z długami i obciachem. Prokuratura zaś z zawieszonym śledztwem, bo – jak twierdzą śledczy – „nie mogą księdza znaleźć". A w kościelnym spisie duchownych proboszcz figuruje jako „zaginiony".

Zarzuty są poważne: wprowadzenie w błąd, przywłaszczenie powierzonego mienia, doprowadzenie do niekorzystnego rozporządzenia majątkiem.

Diecezja milczy. Żadnego oświadczenia, żadnej konferencji, żadnej próby wyjaśnienia. Jakby sprawy nie było. W Sasinie wierni czekają – na zwrot, na wyjaśnienie, na jakiekolwiek działanie. I nie chodzi tu tylko o pieniądze. Chodzi o zaufanie do Kościoła, które – podobnie jak 3,5 mln zł – z owieczek wyparowało.

TOMASZ BOROWIECKI

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Znane ze stosowania psychomanipulacji w celu wyłudzania pieniędzy i powiązane z Instytutem Ordo Iuris Stowarzyszenie Kultury Chrześcijańskiej im. Piotra Skargi wystartuje z akcją billboardową pod hasłem „Rodzicu! Ratuj swoje dziecko przed deprawacją! Wypisz swoje dziecko z przedmiotu edukacja zdrowotna do 25 września". Jak wyjaśniają sekciarze, „wielu rodziców, także katolickich, jest uśpionych. Pozwalają, by garstka osób, które kierują się lewicowymi poglądami, deprawowała nasze dzieci. Chcemy ich obudzić i przypomnieć, że ponoszą odpowiedzialność także za zbawienie swoich dzieci, a nowy przedmiot to furtka do deprawacji – przed czym przestrzegamy". Słuszna uwaga. Jak uczy historia, droga do zdrowia i zbawienia prowadzi tylko przez piec – jeśli w nim pozostać na trzy zdrowaśki. Banery w liczbie 1000 sztuk mają pojawić się w największych miastach 1 września.

✚ W Asyżu odsłonięto rzeźbę przedstawiającą bł. Carla Acutisa klęczącego u stóp Chrystusa. Acutis, znany jako „influencer Boga", wykorzystywał internet do szerzenia kultu Eucharystii, dokumentując eucharystyczne cuda z całego świata i ukazując, jak wiara może łączyć się z technologią. To pierwsza rzeźba, która oddaje hołd przyszłemu świętemu z pokolenia millenialsów. Acutis zostanie kanonizowany 7 września. Autorem monumentu jest Timothy Paul Schmalz. Figura Carla trzyma laptopa, na którego ekranie widnieją kielich i patena. Przy jego plecaku zawieszona jest także proca, którą Schmalz interpretuje jako odniesienie „do Dawida stojącego naprzeciw Goliata: młodzieńca, który stawia czoło współczesnej kulturze świeckiej za pomocą narzędzi świata cyfrowego, a swoją siłę czerpie z filaru krzyża". Wróżymy dużą popularność temu obiektowi religijnego kiczu w popkulturze, nie tylko wśród młodzieży katolickiej. Teraz podrostki będą mogły na legalu oglądać pornuchy i grać w gry nawet do bladego świtu, jeśli wytłumaczą starym, że romans z laptopem to nie bumelanctwo, a ewangelizacja.

✚ Zakopiańskich radnych zszokowała anonimowa petycja, której autor bądź autorzy domagają się zaprzestania modłów za ojczyznę, od których zwyczajowo rozpoczyna się każda sesja rady miasta. Radni Zakopanego ciężką

eprasa.pl 691a71369b

Natanek górą (pieniędzy)

Maryja ląduje, Chrystus króluje.

Memy żyją przeważnie od kilku godzin do kilku dni, ewentualnie dwie kadencje jak Duda. Ewenementem na skalę polską i światową jest Piotr Natanek – suspendowany (zawieszony) ksiądz archidiecezji krakowskiej, jeden z pierwszych memów, który pojawił się w raczkującym polskim internecie. Jego słynne przestrogi przed Harrym Potterem, tatuażami oraz innymi zagrożeniami duchowymi oraz frazy takie jak „wiedz, że coś się dzieje” czy „już się nim diabeł interesuje” pamiętają weterani memiarstwa. Natanek był modny, zanim heheszki z JP2 weszły do mainstreamu. I nadal zaskakuje.

Kary kościelne nałożył na Natanka kardynał Dziwisz w 2011 r., m.in. za „ośmieszanie nauczania Kościoła”. W przyszłym roku minie 15 lat, a wyklęty ksiądz trwa i rozwija skrzydła. Wirtualna beka nie przełożyła się na realny upadek: w rodzinnej miejscowości (nomen omen) Grzechynia założył Pustelnię Niepokalanów, gdzie gromadzi rzesze wyznawców odzianych w charakterystyczne czerwone płaszcze z nadrukiem Chrystusa Króla. Zanim powstali Żołnierze Chrystusa czy Wojownicy Maryi, Natanek sformował formację Rycerzy Chrystusa Króla, która uświetnia swoją jaskrawą obecnością uroczystości religijne i patriotyczne. Choć Piotr Natanek jest suspendowany i przed uczestnictwem w jego imprezach przestrzegają biskupi, to „natankowcy” nie są zbyt intensywnie przeganiani z kościołów, zwłaszcza teraz, gdy każda owieczka jest na wagę złota. Bywalcy Pustelni Niepokalanów są nadzwyczaj karni oraz bywają dobrymi płatnikami, o czym może świadczyć rozmach, z jakim działa ojciec założyciel. Nie zważając na takie przyziemne sprawy jak pozwolenia budowlane, rozbudowuje swoje małopolskie imperium.

Natanek mimo upływu lat regularnie pojawia się w mediach, zazwyczaj gdy coś chlapnie lub na coś zbiera. Aktualnie **apeluje o wpłacanie datków na enigmatyczny projekt pt. „lądowisko dla Maryi”. Charyzmatyczny kaznodzieja nie zdradza szczegółów, ale jego fanom nie są one potrzebne. Każdy cel wyznaczony przez guru jest zbożny, słuszny i nie ma co dyskutować.**

Natanek członków swojej sekty trzyma krótko, po góralsku. Nieraz zdarzy mu się opierdolić swoich przybocznych i wiernych podczas nabożeństw – transmitowanych zresztą w internecie – bo część darczyńców to Polonia, np. z Norwegii. Polonusi bywają hojniejsi, bo bogatsi. Dzięki nowoczesnym technologiom można ich doić zdalnie. Na „lądowisko Maryi” zebrał już ponad milion złotych. Skuteczności może mu pozazdrościć Sakiewicz z Republiki. Fanatycy nie skąpią grosza, a kapłan nie szczędzi im gorzkich słów. Zwłaszcza babom, które muszą znać swoje miejsce. Podwójna – katolicka i góralska – tożsamość Natanka ujawnia się zwłaszcza, gdy ktoś go rozsierdzi, bo zafałszuje w śpiewaniu lub na czas nie poda mu jakiegoś przedmiotu potrzebnego do czarów. Temperamentny duchowny jebie Bogu ducha winnych sekciarzy na czym świat stoi. Jest kij, ale jest też marchewka: ksiądz dobrodziej organizuje także imprezy na świeżym powietrzu z winem i gitarką. Ludzki pan.

„Natankowcy” żyją w przekonaniu, że mamy czasy ostateczne i tylko w agroturystyce ich guru można znaleźć schronienie. Sporą część swojego nauczania Natanek opiera na objawieniach „pani Agnieszki” – mieszkającej w jego pustelni kobiety, która twierdzi, że widzi rzeczy nadprzyrodzone. Swoje wizje spisała m.in. w książce „Orędzia na Czasy Ostateczne, które właśnie nadeszły”, ale też na bieżąco kontaktuje się z zaświatami i konsultuje palące kwestie. W centrum objawień i wielogodzinnych tyrad Natanka znajduje się intronizacja Chrystusa na króla Polski. Brzmi znajomo, zwłaszcza dzisiaj.

Polskę obiegła wieść, że radni powiatu w Makowie Mazowieckim przyjęli uchwałę intronizującą Chrystusa na króla powiatu makowskiego. Była to inicjatywa obywatelska – podpisało się pod nią 300 osób. Projekt poddano pod głosowanie. Na sesji obecnych było 15 radnych: siedmiu było za, a ośmiu nie wzięło udziału w głosowaniu. W uchwale czytamy: „W chwilach powszechnego kryzysu wiary i wartości, nawiązując do ponad 1000-letniej historii Narodu Polskiego, w której królowie zawierzali się opiece Opatrzności Bożej, dziś prosimy Jezusa Chrystusa o błogosławieństwo dla naszych dzieci, domów i rodzin”. Po burzy, która rozpętała się w ogólnopolskich mediach, starosta i wicestarosta wydali oświadczenie i dyplomatycznie odcinają się w nim od tej inicjatywy oraz upominają pisowskich radnych, którzy zrobili z ich powiatu pośmiewisko. Ale mleko się rozlało. Dodajmy, że ks. Natanek też pochodzi z Makowa (ale Podhalańskiego), a jego wizjonerka Agnieszka z leżącej nieopodal Makowa Mazowieckiego Ostrołęki. Przypadek?

Zapewne nie bez znaczenia w tym wszystkim jest wygrana Karola Nawrockiego, która ośmieliła fanatyków. To, co było dotychczas memem jak Natanek, wchodzi na salony. Telewizja Republika przypomniała ostatnio, że Nawrocki jeszcze przed wyborami podpisał umowę nie tylko z Mentzenem, ale też z inicjatywą „Katolicy z Karolem Nawrockim” wzorowaną na amerykańskiej „Katolicy z Trumpem”. Inicjatywa zrzesza ponad 20 stowarzyszeń katolickich, więc można się spodziewać różnych cudów. – Katolicy, oprócz obowiązków wspólnotowych i społecznych, mają prawo do zabierania głosu zgodnie z wyznawanymi wartościami. Musimy o tym pamiętać – mówił Nawrocki w czasie podpisywania umowy. Śmialiśmy się z Natanka, a niedługo on się będzie śmiał z nas. Oby nie śmiał się ostatni.

ŁUKASZ PIOTROWICZ



Ilustr. PAWEŁ FERENC

pracę na rzecz regionu zawierzają Opatrzności słowami modlitwy ułożonej przez ks. Piotra Skargę „Boże, rządco i panie narodów, z ręki karności twojej racz nas nie wypuszczać”. W petycji zaznaczono, że utrzymywanie takiej praktyki może prowadzić do wykluczenia i dyskryminacji wśród części obywateli, którzy nie identyfikują się z daną religią; a państwo świeckie gwarantuje każdemu obywatelowi prawo do swobodnego wyboru i wyrażania swoich przekonań religijnych, ale jednocześnie wymaga, aby instytucje publiczne same pozostawały neutralne w tej sferze. Dodatkowo zwyczaj godzi w konstytucję. Sami przez chwilę byliśmy zszokowani takimi gusłami, ale to w końcu Podhale.

✚ „Głosujemy za aborcją, za eutanazją, za pedałami” – grzmiał z ambony w trakcie mszy świętej w niedzielę 17 sierpnia proboszcz parafii w Łąkcie Górnej (Małopolska) ksiądz Janusz Czajka. Klecha z parafii Matki Bożej Nieustającej Pomocy od lat znany jest ze swoich wypowiedzi o charakterze politycznym. W 2020 r. po debacie prezydenckiej w TVP mówił z ambony, że o objęcie urzędu głowy państwa stara się „dziewięciu idiotów”, chociaż kandydatów było 10, w tym m.in. urzędujący wówczas prezydent Duda. Tym razem kapłan w szczególny sposób wspomniał o bolączkach Kościoła katolickiego z okazji pożegnania z parafią, ponieważ biskup podjął decyzję o przeniesieniu go w inne miejsce. Na tę okoliczność wojewoda małopolski i szef regionalnych struktur PSL Krzysztof Klęczar opublikował list, w którym podkreślił, że mowa nienawiści i publiczne obrażanie ludzi z powodu ich przekonań politycznych, orientacji seksualnej czy innych cech tożsamościowych jest łamaniem polskiego prawa. W obronie księdza stanęła posłanka PiS Józefa Szczurek-Żelazko. W komentarzu na lokalnym portalu napisała, że „zaczyna się zamykanie ust księżom jak za czasów komuny”.

✚ Paweł S., były proboszcz jednej z parafii pod Kielcami, usłyszał dwa zarzuty dotyczące wykorzystania seksualnego. Poszkodowaną była osoba małoletnia. Do przestępstw miało dochodzić w latach 2021–2024. Zgłoszenie dotyczące czynów duchownego trafiło do kieleckiej kurii 13 stycznia. Proboszcz złożył wówczas rezygnację z funkcji, a także został odsunięty od pracy duszpasterskiej i zamieszkał w miejscu wskazanym przez biskupa kieleckiego. Watykan nakazał przeprowadzenie karnego procesu administracyjnego, który zostanie wszczęty jeszcze w tym miesiącu. Może on zakończyć się „nawet wyrzuceniem księdza ze stanu duchownego”.

KLECHA

Zakonnica bez przebrania

Szara myszka kościelna została wydymana

19 sierpnia internet obiegł komunikat: „Z wielkim niepokojem informujemy o zaginięciu siostry zakonnej Doroty Janiszewskiej z naszego Zgromadzenia Sióstr Pasjonistek Świętego Pawła od Krzyża. 19 sierpnia ok. godz. 11.00 s. Dorota odebrała telefon od osoby podającej się za funkcjonariusza policji. Po długiej rozmowie, wyraźnie zdenerwowana, opuściła dom zakonny w Kutnie, mówiąc, że musi pilnie wyjechać. Od tamtej chwili nie ma z nią żadnego kontaktu. Pomimo intensywnych działań poszukiwawczych prowadzonych we współpracy z policją jej los pozostaje nieznany”.

Ludzie masowo udostępniali post zakonnic, zwłaszcza że zaginiona zajmuje się w swojej pracy specyficzną działką: „(…) z wielkim oddaniem wspiera kobiety uwikłane w prostytucję, w tym także ofiary handlu ludźmi. Jej praca jest pełna poświęcenia i odwagi – dociera do osób żyjących w cieniu przemocy, wyzysku i strachu. W świetle tej działalności nie można wykluczyć, że Jej zaginięcie może wiązać się z jej misją, która niesie ze sobą ogromne ryzyko” – pisały zaniepokojone zniknięciem koleżanki siostrzyczki. Uprzedzały, że s. Dorota może się poruszać bez habitu, „ponieważ tego podobno zażądali rozmówcy podszywający się pod policjantów”.

Sprawa pobudziła wyobraźnię: komentatorzy snuli scenariusze z alfonsami (modne ostatnio słowo) w roli głównej. Nieustraszona mniszka, ryzykując życie, podejmuje niebezpieczną grę z gangsterami, incognito odbija porwane dziewczyny; a może to podpucha i przestępcy podstępem zwabili niewygodną siostrę, aby ją uciszyć na amen – wszystko to wydawało się prawdopodobne po dramatycznym apelu pasjonistek. Narażanie się sutenerom jest wszak dzisiaj aktywnością szczególnie niebezpieczną. Postawa zaginionej wzbudzała mimowolny podziw i stała się ona bez mała ikoną Kościoła, którego funkcjonariusze bez względu na koszty poświęcają się Bogu i ludziom, nie bojąc się żadnego niebezpieczeństwa. Gotowy materiał na film ku pokrzepieniu serc. Ludziska trzymali kciuki, wznosili modły i posty na Facebooku, żeby siostra odnalazła się cała i zdrowa. I znalazła się, ale prawda była bardziej banalna i mniej dla Kościoła wygodna, niż zakładano.

Siostra Dorota padła bowiem ofiarą ordynarnego przekrętu finansowego. Udający policjantów wyłudzacze zwabili zakonnicę pod pozorem włamu na konto bankowe i prowadzili ją po kolejnych placówkach, gdzie miała wypłacać pieniądze. – Oszust przekonał ją, że pieniądze na koncie, do których ma dostęp, są zagrożone i że musi szybko te pieniądze przelać na inne konta. Ona uwierzyła temu mężczyźnie i wykonywała jego polecenia. Udawała się do kolejnych banków i dokonywała kolejnych przelewów – relacjonował mł. asp. Mateusz Piliński z Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi. Tych pieniędzy było kilkaset tysięcy polskich złotych. Bagatelka! Głos zabrała także sama zainteresowana. Nagrała filmik z oświadczeniem i umieściła go w mediach społecznościowych, których stała się bohaterką. – Przez prawie trzy dni byłam pod wpływem osób, przekonana, że działam dla dobra, że jestem w ciągłym kontakcie z policją, a jednak okazało się, że byli to przestępcy i oszuści. Ta sytuacja pokazała mi, że każdy może stać się ofiarą, bez względu na świadomość zagrożeń. Bądźcie czujni, nie dajcie się zwieść, weryfikujcie wszystko – mówi rozżalona pasjonistka. – Pracując z ofiarami przestępstw, nie myślałam, że stanę się jedną z nich, a jednak tak się stało – smutno konstatuje siostra Dorota.

Happy end, można by powiedzieć. Ale po radości i uldze pojawiły się pytania.

Skąd siostra zakonna ma kilkaset tysięcy złotych, które może od ręki wypłacić oszustom? Zupełnie przeczy to oficjalnej wersji, wedle której każdy zakonnik i zakonnica ślubują ubóstwo, co wiąże się z tym, że nie mogą mieć nic na własność.

Wszystko, co zarabiają, oddają do wspólnej kasy, z której dostają kieszonkowe na podstawowe wydatki. A jeśli s. Dorota miała dostęp do konta wspólnego, to dlaczego nikt nie reagował na kolejne wypłaty tak znacznych sum? Nie była przecież przełożoną, tylko szeregową zakonnicą, nie mogła zatem dysponować pieniędzmi jak swoimi. Tak wiele pytań, tak mało odpowiedzi. Oczywiście nie dla zaślepionych dewotów, którzy na każdą wątpliwość reagują oburzeniem i każą się cieszyć, że siostra się znalazła. Siostrzyczki muszą się jednak liczyć z tym, że skoro uczyniły sprawę publiczną i postawiły pół Polski na nogi swoim alertem, to mogą się pojawić także niewygodne pytania. Dostaliśmy zaś jedynie mgliste oświadczenie, z którego wynika tylko, że zakonnica jest bardziej naiwna niż kobiety, którym pomaga. Siostra Dorota ma w swojej kategorii poprzedniczkę, nieco bardziej wyrachowaną. Kilka lat temu Urszula K. przywłaszczyła prawie pół miliona złotych z konta Domu Pomocy Społecznej w Dobrzeniu Wielkim (woj. opolskie) i przekazała poznanemu wcześniej mężczyźnie, który sądzony był z kolei za uwodzenie i wyłudzanie pieniędzy od kobiet. Przypłaciła to wyrokiem roku więzienia w zawieszeniu na trzy lata. W przypadku siostry z Kutna obeszło się bez wątku romantycznego, ale niesmak pozostał. Śluby czystości i ubóstwa potrafią nieźle namieszać w głowie, na koncie i w życiorysie.

MATT KOBOSKO



Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 691a71369b

Narodowy skup butelek

Ciekawe, kiedy zacznie brakować papieru toaletowego.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Historia zatoczyła koło, dzięki czemu Polska znów stanęła w obliczu problemu skupu butelek. Bo stworzono system kaucyjny – niby nowoczesny, zgodny z unijnymi dyrektywami, ale w praktyce równie niezrozumiały i pełen dziur jak w czasach, gdy nawet plastikowa reklamówka była luksusem.

Lepiej wcale niż późno

W PRL puste butelki miały wartość obiegową – oddawano je w sklepach spożywczych, punktach skupu, czasem nawet w szkołach, w zamian za gotówkę. Mimo pozornej prostoty już wtedy system zawodził – nie każda butelka była przyjmowana, a często decyzja o przyjęciu zależała od humoru sprzedawcy. Dziś, gdy Europa zmierza ku neutralności klimatycznej, Polska staje w miejscu, przypominając sobie stare mechanizmy, ale bez chęci ich realnej modernizacji.

W Niemczech system działa od lat – kaucja za butelkę PET to 0,25 euro. Klient oddaje butelkę do automatu (tzw. pfandautomat), otrzymuje paragon, który realizuje przy kasie. Wszystko proste, zautomatyzowane, bez konieczności rozważań nad paragrafami. Tymczasem u nas butelki stają się znów problemem narodowym.

Współczesna historia systemu kaucyjnego w Polsce to pasmo opóźnień i legislacyjnych zygzaków. Początkowo ustawa miała wejść w życie 1 stycznia 2025 r. Protesty handlowców, brak przygotowania, a także presja ze strony przedsiębiorców doprowadziły do przesunięcia daty na październik. Ale czy nowa data to rzeczywisty termin startu, czy tylko kolejny przystanek w podróży ku „świętemu nigdy”?

Kaucja będzie obowiązywać wszystkie punkty sprzedaży, niezależnie od wielkości. Każda placówka handlowa, która sprzedaje napoje w opakowaniach objętych systemem, będzie zobowiązana do pobierania kaucji. Jednak tylko te o powierzchni powyżej 200 mkw. będą miały obowiązek przyjmowania pustych opakowań. Mniejsze sklepy mogą to robić dobrowolnie, co oznacza, że klient kupujący napój w wiejskim sklepiku może mieć problem ze zwrotem opakowania.

W praktyce: kupisz wodę w Żabce – oddasz w Lidlu. Albo i nie. Bo jeśli automat nie rozpozna kodu kreskowego, zwrotu nie będzie. W Danii system przewiduje ścisłą identyfikację kodów i opakowań – każdy produkt musi być zarejestrowany w bazie danych systemu kaucyjnego. U nas? Trwają konsultacje.

Kaucja ma wynosić 50 gr dla butelek PET i puszek oraz 1 zł dla szklanych butelek. Zwrot może odbywać się ręcznie lub przez automat. W przypadku automatu klient otrzyma bon lub voucher, który może wykorzystać na zakupy lub wymienić na gotówkę. Ale tu zaczynają się schody: ustawa nie definiuje minimalnego ani maksymalnego okresu ważności bonu, a także nie precyzuje formy wypłaty. Ministerstwo sugeruje, że bon powinien być ważny co najmniej miesiąc i że klient może żądać zwrotu gotówki, ale to tylko interpretacja, a nie litera prawa.

W Estonii, gdzie system działa od 2005 r., zwrot opakowań możliwy jest niemal w każdym sklepie. Automaty przetwarzają miliony opakowań rocznie, a proces jest w pełni zintegrowany z systemem fiskalnym. Estonia zbiła dzięki temu poziom recyklingu opakowań PET do ponad 90 proc. Polska nawet nie zaczęła liczyć.

Flaszka na lekarstwo

Ministerstwo Klimatu i Środowiska twierdzi, że wszystko jest gotowe: operatorzy zostali wybrani, system szczelny, a kaucja nie podlega VAT. Ale rzeczywistość wygląda inaczej. Nie ma kampanii informacyjnej, nie ma przygotowanych punktów zbiórki, nie ma jasnych wytycznych dla przedsiębiorców. Panuje chaos informacyjny, a każdy dzień bez działania pogłębia przepaść między ustawą a jej wdrożeniem.

Co więcej, brak paragonu przy zwrocie opakowań może stać się furtką do nadużyć. Sklep, który przyjmuje opakowania, nie wie, czy zostały one kupione legalnie, a mimo to musi oddać kaucję. Powstaje ryzyko, że duże sklepy będą stratne, a mniejsze zaczną unikać uczestnictwa w systemie. Pojawia się też pytanie o kontrole – kto i jak będzie nadzorował uczciwość rozliczeń?

Sieci handlowe twierdzą, że to system zrobiony na kolanie. Nie wiedzą, gdzie mają oddawać zebrane opakowania ani kiedy dostaną pieniądze za zwrócone kaucje. To nie planowanie, to improwizacja.

Włączenie aptek do systemu kaucyjnego wywołało medialną burzę. Aptekarze się wściekli. Mają sprzedawać suplementy diety w butelkach objętych kaucją i pobierać opłatę, ale w przypadku dużych aptek – także przyjmować zwroty. Doszło do sytuacji, w której farmaceuta jedną ręką sporządza leki aseptyczne, a drugą przyjmuje butelki po piwie. To nie metafora – to pytanie o granice absurdu.

W odpowiedzi na te zarzuty lewicowa wiceministra Anita Sowińska zapewniła: „Żadna apteka nie będzie zbierała pustych butelek”. Odpowiedź przyszła jednak dopiero po tygodniach publicznej presji. Dlaczego tak późno? Dlaczego dopiero w lipcu, gdy ustawa obowiązuje od miesięcy?

W Niemczech apteki nie są częścią systemu kaucyjnego. Nawet jeśli sprzedają suplementy w butelkach PET, to nie mają obowiązku ich odbioru – system wyłączył placówki medyczne i zdrowotne. Nasz – wręcz przeciwnie.

Polacy nie gęsi...

Każda placówka uczestnicząca w systemie musi prowadzić osobną ewidencję, raportować dane do operatora, mieć konta rozliczeniowe. Kaucja nie podlega VAT, ale musi być wykazana w dokumentacji. To wymusza zatrudnienie dodatkowej księgowej, zakup nowych systemów informatycznych i organizację całej logistyki. Koszty rosną.

Związek Przedsiębiorców i Pracodawców alarmuje: „System będzie fiskalnym potworkiem. Sklepy mają raportować każdą butelkę, ale nie mają dostępu do centralnego systemu. Nie wiadomo, kto będzie rozstrzygał spory między sprzedawcą a operatorem”.

W Finlandii operator systemu – organizacja non profit – wypłaca sklepom kasę w ciągu 24 godzin od zgłoszenia. W Polsce nie ustalono nawet modelu rozliczeniowego. Bon wydany przez automat może być realizowany jako gotówka lub jako rabat – ale czy w aptece bon nie narusza zakazu reklamy? Czy można wydać bon na zakup leków? Resort milczy.

Jesienią 2024 r. władza przesunęła wdrożenie systemu o dziewięć miesięcy, bo chodziło jej, aby nie podkładać się przed wyborami. Teraz, jak rok temu, znów pojawiają się głosy o opóźnieniach. Operatorzy są niegotowi, samorządy nie wiedzą, gdzie ustawić automaty, a sklepy pytają, kto zapłaci za zwroty bez paragonów.

W Holandii system ruszył po dwóch latach przygotowań. Zamiast nich

w Polsce mamy serię falstartów. Ministerstwo Klimatu zapewnia, że wszystko będzie gotowe. Tymczasem Polska Izba Handlu podaje, że 63 proc. detalistów nie wie, jak będzie wyglądać system. Aż 78 proc. małych sklepów nie planuje przystąpienia do niego.

Pozostaje jeszcze pytanie: czy system kaucyjny to realna szansa na poprawę środowiska, czy tylko działanie pozorne, mające przykryć brak skutecznej polityki odpadowej? Plastikowe butelki to tylko kilka procent wszystkich śmieci. Skupiając się na nich, maskujemy brak pomysłu na resztę.

Przykłady z zagranicy pokazują, że system kaucyjny może działać. Ale nie wtedy, gdy zamiast spójnych działań mamy festiwal absurdów, opóźnień, niejasności i kosztów. Dlatego, że urzędnikom nie chciało się nie wyważać otwartych drzwi i skopiować tego co u innych hula. Bo jak widać, każda władza w Polsce ma fioła na punkcie tego, by nie być posądzana, że realizuje cudze interesy, bo zrobiła coś tak jak w innym kraju. Nie – u nas ma być po naszemu.

TOMASZ BOROWIECKI

Życie W DOBROBYCIE

● Słysząc o piekarni, która ma mniej klientów, obniża ceny i mimo to zarabia więcej niż wcześniej, każdy popukałby się w głowę, bo to niemożliwe jest. Ale nie w banku, bo bank potrafi. BNP Paribas Bank Polska w drugim kwartale pochwalił się zyskiem netto 733,8 mln zł. O włos mniej od rekordu z pierwszego kwartału – 741,4 mln zł i aż o 21 proc. więcej niż rok temu. Analitycy spodziewali się 644,2 mln zł, bo wszak liczba klientów banku spadła – i to solidnie. W rok ubyło ich 315 tys., czyli 7,6 proc. Zostało 3,855 mln. Na dodatek w maju stopy procentowe spadły o 0,5 punktu procentowego. W teorii banki powinny zarabiać mniej, bo maleją przychody z tej działki. W praktyce BNP Paribas pokazał wynik odsetkowy 1,473 mld zł, czyli o 21 proc. większy niż rok temu. Marża odsetkowa? O 3,54 proc. wyższa niż rok temu. To dlatego, że depozytów nie trzeba było oprocentować tak hojnie jak kredytów. Do tego bank sprzedał o 184 proc. więcej kredytów hipotecznych niż rok wcześniej i o 21 proc. więcej niż kwartał wcześniej. Nawet spadek dochodów odsetkowych od kredytów po obniżce stóp udało się zneutralizować – rosnącymi o 13,9 proc. prowizjami, zwłaszcza od korzystania z kart, zarządzania aktywami i od operacji brokerskich. Koszty? W dół. Wyniosły 786,4 mln zł, czyli o 5,6 proc. mniej od oczekiwań. Zatrudnienie spadło do 7357 osób, wskaźnik kosztów do dochodów osiągnął rekordowe 41,8 proc. – lepiej niż kiedykolwiek. Bo przewaga banku nad piekarnią polega na tym, że jego zawsze będzie na wierzchu.

● Kolejnym dowodem na cuda w gospodarce jest polska turystyka. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że kraj z cenami w knajpach na poziomie Hiszpanii czy Włoch, a z zabytkami raczej skromniejszymi, lodowatym morzem i rzekami i jeziorami nienadającymi się do kąpieli, wciąż trzyma się w turystycznej czołówce? „Unia przyciąga do siebie co czwartego turystę na świecie” – donosi Eurostat. Polska jest w tym peletonie wyborem „pierwszej kolejności”, choć w 2024 r. uplasowała się dopiero na 13. miejscu w Europie i 10. w Unii pod względem wpływów z turystyki – 13,2 mld euro. Wyprzedziły nas nie tylko wakacyjne potęgi jak Hiszpania (98 mld euro) czy Francja (71 mld), ale nawet Chorwacja, która na turystach zarobiła 15 mld euro. Według Eurostatu aż 89 proc. wpływów z turystyki w Polsce pochodzi od Europejczyków, 6 proc. od Azjatów, a zaledwie 4 proc. od Amerykanów. ONZ wylicza, że turystyka to 15 proc. naszego eksportu usług i 3,7 proc. całego eksportu – dla porównania w Chorwacji to aż 35 proc. eksportu ogółem. Polacy sami też coraz chętniej wydają na wojaże – w 2024 r. za granicą zostawili prawie 11 mld euro, czyli o 13 proc. więcej niż rok wcześniej. Per saldo wciąż wychodzimy na plus – o 2,4 mld euro. I to bez wspomożenia branży HoReCa z KPO.

● W cuda kazano uwierzyć około 500 pracownikom Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego we Wrocławiu – jednej z największych placówek medycznych w Polsce. Ludzie, którzy wożą pacjentów, sprzątają sale i wynoszą szpitalne śmieci, dowiedzieli się, że będzie im lepiej, bo przejdą pod skrzydła zewnętrznego pracodawcy. Tymczasem każda firma ma przynosić zysk. Skoro ma zarabiać, to szpital będzie płacił jej za tych samych pracowników mniej, niż gdyby zatrudniał ich sam. A do obsługi księgowej i personalnej i tak zostaną ci sami urzędnicy szpitalni, którzy liczą pensje lekarzom i pielęgniarkom. Matematyka jest więc prosta: pracownicy muszą dostać mniej, żeby firma dostała więcej. No i robotę mogą stracić o wiele prościej. Szpital uspokaja, że nikt nie straci pracy. Tyle że w tego rodzaju zapewnienia wierzą pewnie tylko władze lecznicy. Bo skoro outsourcing w innych wrocławskich placówkach się nie sprawdził, to dlaczego miałby się sprawdzić tutaj? A ktoś, kto twierdzi, że firma zewnętrzna zatrudni ludzi taniej, a jednocześnie lepiej i stabilniej, powinien zostać wysłany na obserwację psychiatryczną. Najlepiej w szpitalu, który też próbuje udowodnić, że dwa plus dwa równa się pięć.

● I cud następny. Firma Resi4Rent, największy w Polsce operator mieszkań na wynajem, właśnie pozbywa się ponad 5 tys. lokali. Kupuje je niemiecka spółka Vantage Development. Cena? 2,405 mld zł. Firmie zostanie więc tylko 4,5 tys. mieszkań. „Umowa o wartości 2,405 mld zł z prognozowaną stopą zwrotu na poziomie 6,3 proc. stanowi jasny sygnał, że rozwijający się w Polsce segment najmu ma istotny potencjał przyciągania zagranicznych inwestorów” – czytamy w komunikacie. Czyli według sprzedających sprzedaż połowy majątku to dowód, że interes kwitnie. Tylko że gdyby naprawdę kwitł, to zamiast sprzedawać mieszkania Niemcom, firma sama czerpałaby zyski z wynajmu. „W pełni wynajęte portfolio Resi4Rent doskonale odpowiada na trendy demograficzne i rosnącą mobilność mieszkańców największych miast” – mówi mediom ekspert, zapewne wynajęty przez firmę. Bo jeśli demografia i mobilność Polaków w miastach są tak fantastyczne, to dlaczego oddaje się pewne przychody w obce ręce? Ciekawie wygląda również biznesplan Niemców. Liczą na 6,3 proc. rocznego zwrotu z wynajmu mieszkań, gdy średnia stopa w Polsce to najwyżej 5 proc. Albo więc odkryli cudowne źródło zysków, albo wiedzą coś, czego nie mówią głośno: że obietnice państwa o tanim budownictwie na wynajem to jedna wielka ściema.

● Dowodem na niemożność jest sytuacja PKP Cargo. Spółka, która miała być lokomotywą ekologicznego transportu, ciągnie za sobą coraz cięższy wagon długów. Wiszą już 3 mld zł. Ratunkiem mają być zwolnienia – 765 osób do końca września po tym, jak rok wcześniej pracę straciło ponad 3,6 tys. Do tego konsolidacja zakładów, sprzedaż wagonów i dramatyczne cięcia kosztów. Liczby zaś są bezlitosne. W czerwcu kolej przewiozła 17,5 mln ton towarów, o 7,4 proc. mniej niż rok wcześniej. Praca przewozowa spadła o 10 proc., eksploatacyjna – o 8,3 proc. Wiceminister infrastruktury obiecuje, że w ciągu maksymalnie trzech lat PKP Cargo osiągnie udział w rynku na poziomie 30–35 proc. Problem w tym, że dziś jest to 26–27 proc., a trend pokazuje raczej kolejne spadki. Kurs akcji PKP Cargo na giełdzie spadł przez ostatnie 10 lat o 77 proc. Tymczasem ciężarówki mają co wozić, bo dla przewoźników liczy się szybkość i cena. Przewożenie kilkudziesięciu kilogramów towaru wagonem kolejowym przez parę tygodni jest po prostu absurdem, którego nikt – poza zarządem PKP Cargo i wiceministrem – nie traktuje poważnie.

TTJ

eprasa.pl 691a71369b

Jak pokazać światu, że jesteśmy demokratycznym krajem? Najlepiej zorganizować wielką imprezę sportową.

Miękka siła

Sportswashing to termin używany do opisania praktyk rządów mających na celu naprawienie swojej reputacji. Oczywiście jest przejawem propagandy i to na wielką skalę, bo sport wyczynowy nie jest tanią zabawką. Sportswashing to miękka siła danego kraju stosowana poprzez organizowanie wielkiej imprezy sportowej lub jej sponsorowanie.

Impreza dla dyktatorów

Ciekawe, kiedy po raz pierwszy użyto tego słowa. Było to w 2015 r. podczas organizacji pierwszych igrzysk europejskich w Baku. Azerbejdżan nie narzeka na brak pieniędzy, płyną one spod ziemi w postaci ropy naftowej. To leżące w rejonie Kaukazu państwo teoretycznie jest republiką, a w rzeczywistości pełnię dyktatorskiej władzy sprawuje prezydent. W wyborach w 2018 r. prezydent Ilham Alijew uzyskał 86,02 proc. głosów i został wybrany na czwartą kadencję. Azerbejdżan od chwili powstania (powstał po rozpadzie ZSRR) ma kłopoty z przestrzeganiem praw człowieka. Z tego powodu oraz powszechnej korupcji wykluczany był nawet z Rady Europy.

Wypadało coś zrobić. Akurat Europejski Komitet Olimpijski usiłował zorganizować swoje igrzyska kontynentalne, które pozwoliłyby mu silniej zaistnieć w światowej rodzinie sportowej. Inne kontynentalne organizacje miały swoje zawody, niektóre – jak igrzyska azjatyckie – cieszące się dużą popularnością. Europa była przy nich ubogim krewnym, co łatwo wytłumaczyć. Na naszym kontynencie odbywa się do diabła i trochę imprez, trudno w kalendarzu upchnąć jeszcze jedną. Ale pokusa była. Igrzyska równa się splendor i pieniądze, a na to działacze sportowi zawsze są łasi.

Na igrzyska europejskie Azerbejdżan wydał miliardy, ale kto jest w stanie podać prawdziwą sumę? Trzeba także pamiętać, że wielkie sportowe imprezy są zawsze okazją do korupcji. W każdym razie na starcie stanęło 50 ekip, choć większość w nie najmocniejszych składach. Można było odtrąbić sukces. Sportswashing zadziałał, przynajmniej w odczuciu gospodarzy.

Drugim chętnym do goszczenia igrzysk europejskich okazała się Białoruś. O tym, że prezydentowi Alaksandrowi Łukaszence zależy na wybielaniu wizerunku swojego i rządzonego przez niego kraju, nie trzeba nikogo przekonywać. Wszystko odbyło się według schematu: przyjechało 50 ekip, o zawodach i medalistach mało kto słyszał, ale gospodarze ogłosili sukces.

Jelenie z PiS-u

Rozpoczęło się poszukiwanie kolejnego chętnego, czyli mówiąc wprost: jelenia, który wyłoży dużą kasę, niewiele otrzymując w zamian. Nie trzeba było wybierać organizatora spośród grona chętnych. Amator goszczenia europejskich sportowców zgłosił się sam. Władze PiS, rządzące wówczas Polską, uznały, że i im przyda się poprawa wizerunku poprzez zorganizowanie wystawnej imprezy. Jako miejsce rozgrywania zawodów wskazały Kraków (tradycja olimpijska nakazuje jako organizatora podawać miasto, a nie państwo, co od dawna jest fikcją), a odpowiedzialnym za ich sprawne przeprowadzenie wybrały swojego wybitnego działacza, wicepremiera Jacka Sasina. Osoba Sasina dawała gwarancję, że wszystko zakończy się klapą, bo zawsze był specjalistą od nietrafionych posunięć.

Czy warto wracać do wielkiej nieudanej imprezy, która odbyła się w 2023 r.? Nie tylko warto, ale trzeba. Spółka Igrzyska Europejskie 2023 działa do dziś, a na jej czele stoi były lekkoatleta z dyplomem MBA nieistniejącej uczelni. Pracownicy wypłacają sobie pensje, a krakowscy dziennikarze zauważyli, że ta jednostka organizacyjna jako jedna z pierwszych w kraju wprowadziła w tygodniu czterodniowy system pracy. W piątki do biura przychodzi tylko bufetowa.

Najwyższa Izba Kontroli sprawdziła rachunki spółki Igrzyska Europejskie 2023 i poinformowała, że przygotowuje zawiadomienie do prokuratury. „Izba podejrzewa, że doszło do wyrządzenia Skarbowi Państwa szkody majątkowej wielkich rozmiarów” – można przeczytać w protokole pokontrolnym.

Inspektorom NIK nie spodobała się na przykład forma opłaty, jaką organizator igrzysk przekazać musiał do Europejskiego Komitetu Olimpijskiego. Bo to nie jest tak, że można za darmochę biegać, skakać i rzucać pod flagą z pięcioma kółkami. Opłatę należało wnieść w momencie, gdy kurs euro był korzystny, ale spółka nie zawracała sobie takim drobiazgiem głowy. W efekcie europejskiemu komitetowi zapłacono o ok. 2,5 mln zł więcej, niż można było to zrobić w innym terminie. Nie wiem, ile europejski komitet pobiera od naiwniaków gotowych bawić się w olimpijczyków (nigdzie nie znalazłem tych danych), ale jeśli różnica kursów daje taka sumę, musi to być naprawdę kupa pieniędzy.

Wśród nieprawidłowości NIK wytknęła organizatorom igrzysk i taki drobiazg: wpływy ze sprzedaży biletów były o 700 tys. zł niższe niż koszty ich wytworzenia. W efekcie cała impreza kosztowała 1,7 mld zł, choć jeszcze w styczniu 2022 r. szacowano, że wystarczy 400 mln zł. Zresztą dopóki spółka Igrzyska Europejskie 2023 istnieje, koszty rosną, bo pracownikom trzeba wypłacać pensje, a bufetowej chyba nawet nadgodziny za pracę w piątek.

Kolej na Erdoğana

O co chodziło PiS z tymi całymi igrzyskami? Przecież z demokracją nie jest u nas jeszcze tak źle, żeby rządy musiały uciekać się do sportswashingu; więzienia nie są pełne opozycjonistów, prasa i telewizja cieszą się swobodą. No, ale wizerunek zawsze trzeba poprawiać, nie tylko na zewnątrz kraju. Zbliżały się wybory parlamentarne i impreza, zwana Sasiniadą, miała PiS dać ileś tam dodatkowych punktów.

Jednym z olimpijskich obyczajów ceremonii otwarcia zawodów, obok zapalania znicza, jest przekazywanie olimpijskiej flagi gospodarzom przez poprzedniego organizatora, a na zakończenie wręczenie jej następcom. To akurat się nie udało. W 2023 r. Białoruś po współudziale w pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę wykluczona została ze sportowej społeczności. Sasin nie mógł odbierać flagi od Łukaszenki. Nie miał jej także komu przekazać po zgaszeniu znicza. Kolejny amator płacenia za marne zawody sportowe nie był jeszcze znany. Dopiero trwały jego poszukiwania.

Teraz wiadomo, że w 2027 r. igrzyska europejskie zawitają do Turcji. Krajowi rządzonemu żelazną ręką przez prezydenta Recepa Tayyipa Erdoğana bardzo przyda się wypranie wizerunku. Dopóki istnieć będzie polityczne zapotrzebowanie, dopóty działacze Europejskiego Komitetu Olimpijskiego mogą być spokojni o swoją imprezę, i to niezależnie od jej poziomu sportowego. Zawsze znajdzie się ktoś chętny.

Katar wprost staje na głowie, by zadziwiać świat. Doskonale pamiętamy futbolowe mistrzostwa świata, które z powodu klimatu przeniesiono na grudzień, burząc ligowe kalendarze w Europie i Ameryce Południowej. Swoim przepychem zadziwiały wszystkich, klimatyzacja była nawet na płytach stadionów. Katar chciał się pokazać jako nowoczesne, przestrzegające praw człowieka państwo. W rezultacie musiał się oczyszczać (i robił to bardzo skutecznie) przed zarzutami wykorzystywania niewolniczej pracy Banglijczyków (mieszkańcy Bangladeszu) i Pakistańczyków, których wielu (nikt nie wie ilu) zginęło podczas prac budowlanych prowadzonych w ekspresowym tempie i w ekstremalnej temperaturze.

Katar w ogóle stawia na sport. Organizowano tam mistrzostwa w wielu dyscyplinach, zaprasza się najlepszych pięściarzy i snookerzystów. Dobrze być katarskim kibicem, zwłaszcza w kraju, który ma piąty najwyższy w świecie dochód przypadający na jednego mieszkańca.

W 2034 r. mundial odbędzie się w Arabii Saudyjskiej. W ramach przygotowań i w celu spopularyzowania piłki nożnej w kraju do swojej ligi kupuje za mocno przeszacowane pieniądze piłkarzy oraz trenerów z Europy i Ameryki Południowej. Dla futbolisty wyjechać do Arabii Saudyjskiej oznacza zapewnić utrzymanie kilku następnym pokoleniom. Zapytajcie Cristiana Ronaldo, ile zarabia w klubie Al-Nassar (200 mln euro za sezon). Za jeden dzień pracy mógłby kupić w Polsce fajny dom i jeszcze coś by mu zostało.

Zjednoczone Emiraty Arabskie mają najlepszą w tej chwili zawodową drużynę kolarską na świecie. Świetną stajnię, nieco słabszą, ale też dobrą, ma Bahrajn. Sport zawodowy opera się niemal wyłącznie na pieniądzach, a tych krajom arabskim nie brakuje.

Tour de Rwanda

Po klasyczny sportswashing śmiało sięgnęła Rwanda. O tym afrykańskim kraju głośno jest z powodu wojny, jaką toczy z Demokratyczną Republiką Konga. Prezydent Donald Trump jako swój wielki sukces uznał zakończenie tego konfliktu, ale ledwo to wypowiedział, walki zostały wznowione. Ten mały, młody, ubogi rolniczy kraj, niosący za sobą bagaż makabrycznego ludobójstwa ludu Tutsi przez bojówki Hutu, w którym śmierć poniosło ponad pół miliona osób, a 2 mln musiały uciekać za granicę, nie od dzisiaj próbuje zaistnieć przy wielkim sporcie. Ma podpisane umowy sponsorskie z takimi futbolowymi gigantami jak Arsenal Londyn, Paris Saint-Germain czy Bayern Monachium. We wrześniu gościć będzie kolarskie mistrzostwa świata.

Prezydent Międzynarodowej Unii Kolarskiej (UCI) David Lappartient z dumą podkreśla, że po raz pierwszy tej rangi impreza w kierowanej przez niego dyscyplinie zawita na kontynent afrykański. To prawda: raz już była blisko, bo na Półwyspie Arabskim, w Katarze w 2016 r., ale w Afryce – jeszcze nigdy.

Czy w wielu krajach kolarze ucieszyli się, że realizować będą hasło widoczne na piłkarskich stadionach „Visit Rwanda”? Raczej nie. W stolicy kraju Kigali, gdzie odbywać się będą wyścigi, można co prawda zarazić się malarią, ale temu zapobiega szczepienie. Tym, co najbardziej odstrasza kolarzy, jest odległość od Europy, w której swoje siedziby ma zdecydowana większość czołowych zawodników. Do samolotów trzeba wsadzić nie tylko ludzi, a przede wszystkim tony sprzętu. Będzie to bardzo kosztowna wyprawa. No i obawa przed konfliktem Rwandy z Demokratyczną Republiką Konga też budzi lęk. Czy na pewno – jak zapewniają gospodarze – będzie bezpiecznie?

Już wiadomo, że w Rwandzie nie pojawi się dwukrotny zwycięzca Tour de France Duńczyk Jonas Vingegaard i dwukrotny medalista olimpijski Belg Wout van Aert. Obaj nie mówią o wojnie ani o malarii. Nieobecność tłumaczą przemęczeniem długim sezonem. No, ale mistrzostwa świata zawsze odbywają się we wrześniu. I wszyscy są zmęczeni.

Reputacja Polski Ludowej

Jeśli Czytelników dziwi, że piszę w tak poważnym tonie i nie wplatam żadnej dygresji z moich młodych dziennikarskich lat, śpieszę się poprawić. Będzie o kosztach wysyłania do odległego kraju ekipy kolarskiej. W tamtym przypadku chodziło o Stany Zjednoczone. Odbywały się tam kolarskie mistrzostwa świata juniorów. Kierownikiem polskiej ekipy był sekretarz generalny PZKol „Bubu” Karpiński. Przydomek „Bubu” tak przylgnął do nieżyjącego już działacza, że w żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć jego imienia. Oczywiście w tamtych czasach w PRL nie było kart kredytowych ani książeczek czekowych, a na miejscu trzeba było zapłacić za hotel, wyżywienie, a przede wszystkim wynająć wóz techniczny.

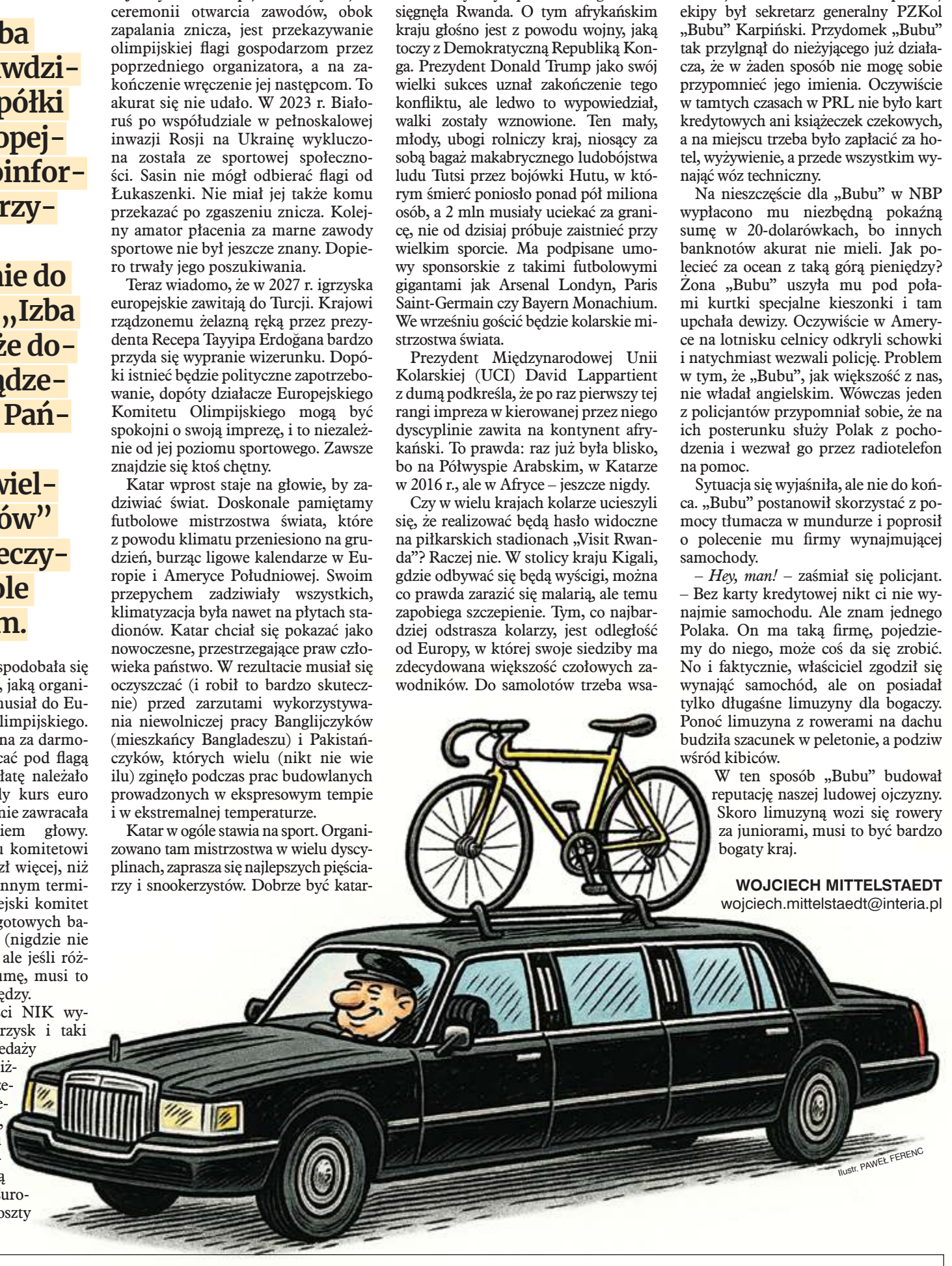
Na nieszczęście dla „Bubu” w NBP wypłacono mu niezbędną pokaźną sumę w 20-dolarówkach, bo innych banknotów akurat nie mieli. Jak polecieć za ocean z taką górą pieniędzy? Żona „Bubu” uszyła mu pod połami kurtki specjalne kieszonki i tam upchała dewizy. Oczywiście w Ameryce na lotnisku celnicy odkryli schowki i natychmiast wezwali policję. Problem w tym, że „Bubu”, jak większość z nas, nie władał angielskim. Wówczas jeden z policjantów przypomniał sobie, że na ich posterunku służy Polak z pochodzenia i wezwał go przez radiotelefon na pomoc.

Sytuacja się wyjaśniła, ale nie do końca. „Bubu” postanowił skorzystać z pomocy tłumacza w mundurze i poprosił o polecenie mu firmy wynajmującej samochody.

– *Hey, man!* – zaśmiał się policjant. – Bez karty kredytowej nikt ci nie wynajmie samochodu. Ale znam jednego Polaka. On ma taką firmę, pojedziemy do niego, może coś da się zrobić. No i faktycznie, właściciel zgodził się wynająć samochód, ale on posiadał tylko długaśne limuzyny dla bogaczy. Ponoć limuzyna z rowerami na dachu budziła szacunek w peletonie, a podziw wśród kibiców.

W ten sposób „Bubu” budował reputację naszej ludowej ojczyzny. Skoro limuzyną wozi się rowery za juniorami, musi to być bardzo bogaty kraj.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



Ilustr. PAWEŁ FERENC

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 27.08.2025 r.

eprasa.pl 691a71369b

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Na dziedziniec w Belwederze zajeżdżają limuzyny, suwy i dostawczaki, a w każdym aucie kartony, a w każdym kartonie butelki, a w każdej butelce ciecz z zawartością etanolu, a na każdej butelce etykietka, a na każdej etykietce monogram: KN. Oraz dołączona koperta.

– W tej kopercie też są tylko podziękowania – mówi rozczarowana Beata Kempa, doradczyni prezydenta KN. I pokazuje inicjały wyhaftowane na gorsie sukienki: BK.

– A co miałoby być? – pyta inny doradca KN Jacek Saryusz-Wolski, który kazał sobie wyszyć monogram na chusteczkach do nosa: JSW.

JSW wyjmuje z jednego kartonu butelkę białego wina, wyczarowuje kilka kieliszków i z biegłością barmana rozlewa trunek.

– Dobre? – pyta Magdalena Hajduk, również doradczyni KN, a może ktoś więcej. Swoje inicjały – MH – Hajduk kazała sobie wytatuować w miejscu, którego nie pokazuje się nawet na plaży.

– Pyszne! – wykrzykują unisono BK i JSW.

Panuje ogólne cmokanie i oblizywanie się. Najwięcej wina pije doradca KN Błażej Poboży (dyskretny monogram PB na wewnętrznej kieszeni marynarki), a najmniej doradca KN Alvin Gajadhur (inicjały AG ma na swetrze do krykieta).

Gdy już wszyscy doradcy (oprócz AG) mają w czubie, zaczynają uwodzić MH, która chichocze i bez przerwy poprawia włosy. Żaden nie chce uwodzić BK, pewnie dlatego ma ona tak nadąsaną minę.

– Jakbym chciała, tobym miała monogram na bieliźnie – mówi BK, udając obojętność.

To pobudza wyobraźnię doradców. Tylko JSW zdaje się bardziej zainteresowany winem niż figami BK.

– Do wina przydałyby się ostrygi – wzdycha JSW. – Czy KN nie mógłby zapowiedzieć, że zawetuje podwyżkę akcyzy na owoce morza?

– W Polsce nie ma akcyzy na owoce morza – informuje BP.

– No to niech rozkaże obniżyć ceny – upiera się JSW. – Wkrótce oprócz wina dostawcy zaczęliby nam przysłać ostrygi.

– Znów ktoś przywiózł coś do picia – informuje MH, spoglądając przez okno na dziedziniec. – O kurczę!

– Co?!

– To KN! – histeryzuje MH.

Doradcy chowają flaszki i kieliszki, zamykają kartony. Poprawiają fryzury i garderobę.

Na podjeździe zatrzymuje się limuzyna warta jakieś dwa miliony. Na masce ma kółko, a na kółku inicjały: BMW.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



JOANNA SENYSZYN robi ostatni szlif statutu swojej partii. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** obcuje ze służbą zdrowia i nie tylko.

Wołk-Łaniewska: – Opowiem ci historię o moim mieście.

Senyszyn: – Dawaj.

– Otóż moja matka przewróciła się w warszawskim tramwaju. I nie dała rady wstać. Zanim przyjechały pogotowie i policja, pojawił się nadzór ruchu warszawskiej komunikacji miejskiej w postaci dwóch facetów. Jeden był bardzo miły i starał się pomóc, za to drugi – potężny, brzuchaty, z wielkim złotym krzyżem na szyi…

– Domyślam się, w którą stronę to zmierza.

– Założę się, że nie. Bo byś na to nie wpadła. Ja też nie. Otóż zaczął od stwierdzenia, że starzy ludzie nie powinni jeździć tramwajami. A w każdym razie nie sami. Ktoś powinien ich pilnować, dla ich dobra oczywiście. Bardzo chciałabym się dowiedzieć, czy ageizm jest oficjalnym stanowiskiem prezydenta Trzaskowskiego, czy też osobistym wkładem katola z nadzoru ruchu. Próbowałam katola o to zapytać, ale chyba nie zrozumiał słowa „ageizm”.

– Zważywszy na skalę zjawiska „więźniów czwartego piętra”, podejrzewam, że jest to stanowisko wielu włodarzy miast i nie tylko. Choć na przykład ministra Okła-Drewnowicz szczerze się przejmuje niedostosowaniem architektury do potrzeb seniorów…

– To dobra wiadomość, zważywszy, że jest ministrem do spraw polityki senioralnej.

– Była, teraz jest sekretarzem stanu od tych samych spraw. I traktuje to serio. W lipcu zorganizowała konferencję na ten temat, z bardzo ciekawą konkluzją: że często, nawet jak są pieniądze i chęci, instalowaniu wind sprzeciwiają się konserwatorzy zabytków. Tak jakby prawa zabytków były ważniejsze od praw człowieka.

– Widać nie są tak mądrzy jak bohater mojego dzieciństwa Tytus de Zoo, który przykleił Papciowi Chmielowi na plecach kratkę z napisem „Uwaga, zabytek! Nie dotykać!”. Po czym tłumaczył: „Pomyślałem sobie, jak to: głupie 40-letnie żelazko ma być zabytkiem, a taki piękny 50-letni Papcio nie?”…

– To jest bardzo słuszny punkt widzenia: jeśli weźmiemy stuletniego mieszkańca stuletniej kamienicy – mieszkaniec ma niewątpliwie większą wartość historyczną.

– A także większą unikatowość… Ale w tej postawie władz miasta jest jakaś logika: jak starcy będą siedzieć na czwartym piętrze bez windy, to nie będą się rozbijać tramwajami. Wracając wszakże do mojego narzekania: w związku z pobytem matki w szpitalu wymyśliłam należytą karę dla tych wszystkich, którzy protestują przeciwko „dosypywaniu pieniędzy do chorego systemu”. Należy im się wylądowanie ze złamanym biodrem w Szpitalu Bielańskim.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

– Dlaczego akurat Bielańskim?

– Bo z nim mam kosę, gdyż różne osoby były tam niemiłe dla mojej mamusi. Dla porządku: nie mam żadnych zastrzeżeń do lekarzy, lekarze byli znakomici. Kompetentni, życzliwi, zero skarg. Trochę gorzej z personelem nielekarskim… Ale myślę, że ten sam problem dotyczy każdego innego szpitala. I w tej sprawie pieniądze naprawdę pomogą. Zgoda: nie da się z czwartku na piątek zatrudnić tysięcy nowych kompetentnych lekarzy, bo wyszkolenie lekarza trwa tak naprawdę dekadę. Ale da się zatrudnić salowe, których będzie tyle, że pacjentka na noszach nie będzie czekała trzy godziny, aż znajdzie się ktoś, kto ją zawiezie z korytarza SOR-u na oddział, na który została skierowana. Inna sprawa, że w Szpitalu Bielańskim na oddziałach pacjentki też leżą na korytarzach, więc w zasadzie żadna różnica…

– Pamiętam taki monolog z PRL, bodajże z Kabaretu Pod Egidą, o ministrze zdrowia, co to był taki wrażliwy, że „do szpitali nie zaglądał, żeby chorym na korytarzach i w piwnicach nie przeszkadzać”… Ale ja mam ze szpitali tylko miłe wspomnienia. Choć zawsze sobie powtarzam piosenkę: „Daleko od noszy, od noszy najdalej, najlepiej nie choruj, omijaj szpitale”… W sprawie pieniędzy na zdrowie: pełna zgoda. I ilustracja: moja kuzynka, która miała już wyznaczony konkretny termin zrobienia endoprotezy kolana, zgłosiła się w szpitalu z całym ekwipunkiem na dwa dni – bo teraz tak krótko trzymają – i usłyszała, że operacja odwołana, bo pieniędzy na endoprotezy nie ma i w tym roku nie będzie. A co będzie w przyszłym, nie wiadomo.

– A na tzw. obronę narodową wydajemy 200 mld i jeszcze rząd uważa to za powód do dumy. Proponuję: endoprotezy zamiast armat!

– Mówiłam o tym w kampanii: gdybyśmy pozostali przy 3–3,5 proc. PKB, zaoszczędzimy jakieś 70 mld.

– Za to w dwa lata można wszczepić endoprotezy wszystkim polskim emerytom i jeszcze by zostało na rencistów…

– Może wszyscy nie potrzebują endoprotez i zostanie trochę na salowe…

– Idealne rozwiązanie!

– Zmieniając temat: akurat kiedy rozmawiamy, mamy 21 dni prezydenta Nawrockiego.

– Nawet nie miesięcznicę…

– A ile już dokonał! Rozpatrzył osiem ustaw, pięć podpisał, trzy zawetował. To połowa tego, co zawetował Duda przez swoje ostatnie dwa lata. W 21 dni zdążył zostać patronem taniej coli, obrońcą starych prezesów sądów i nadwornym recytatorem frazesów o „suwerenności”. I do tego jak przemawia! Jakby czytał podręcznik do historii pisany przez samego siebie w IPN: dużo o „narodowych wartościach”, nic o realnych problemach. Inflacja? Kredyty? Klimat? Milczy. Ale o wyklętych pamięta, tyle że wybiórczo.

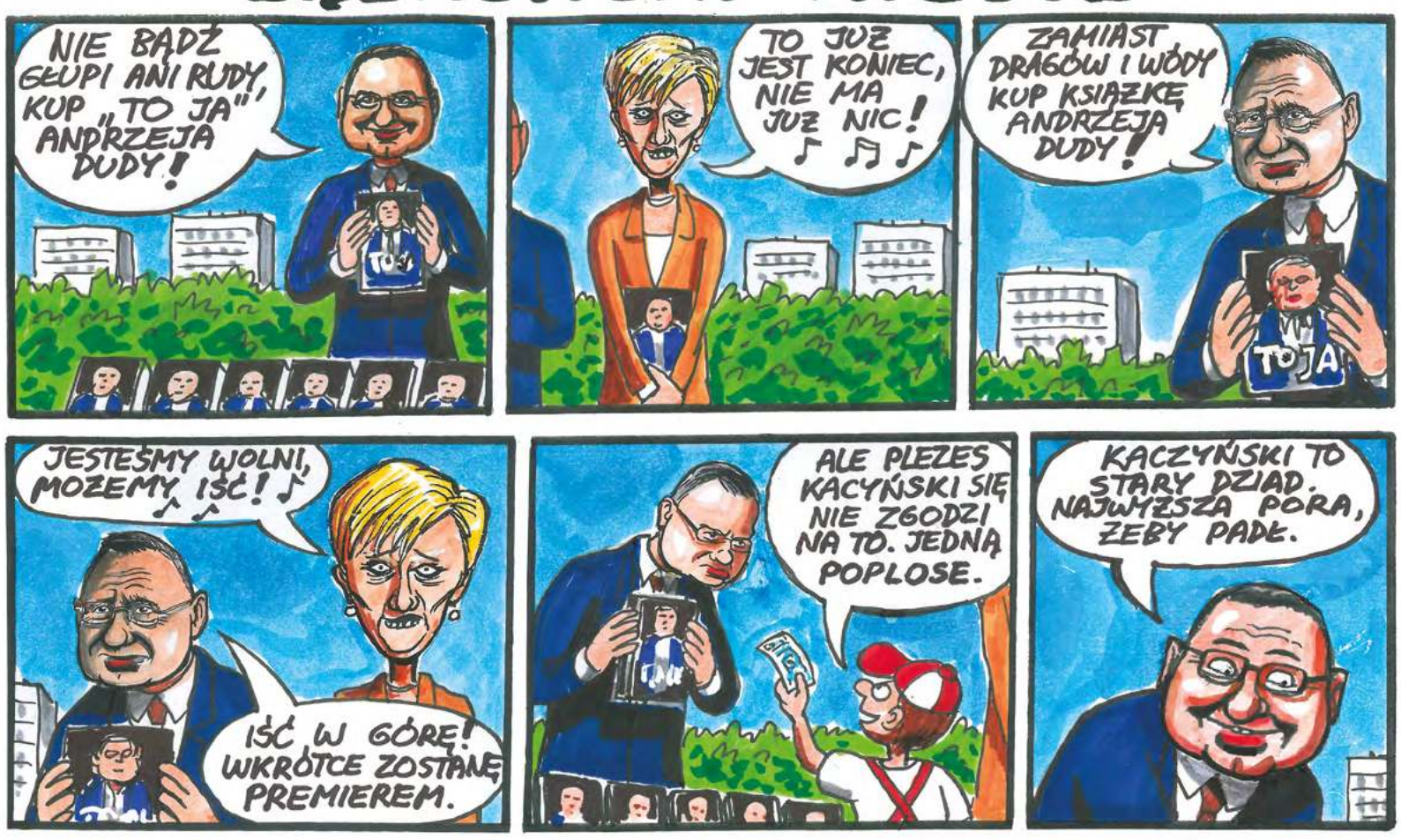
– A mnie tam nowy prezydent raduje. Na pewno jest cwańszy od poprzednika…

– O to nietrudno…

– Prawda. Ale lubię popatrzeć, jak sobie z Tuskiem podsrywają z uprzejmymi uśmiechami na twarzy. Środowa Rada Gabinetowa – toż to był fascynujący spektakl. Tusk do Nawrockiego o umowie z Mercosurem: „Nie ma dość krajów do zbudowania mniejszości blokującej, ale proszę się nie krępować, panie prezydencie, z pańskimi talentami dyplomatycznymi wszystko jest możliwe”. Nawrocki do Tuska o narzekaniu na rządy PiS: „Nie udało mi się zachęcić pana premiera do tego, żeby porzucił ten temat historyczny; ja wiem, że obydwaj jesteśmy historykami, i to jest trudne, ale dla tego spotkania byłoby lepsze, gdybyśmy rozmawiali o konkretnych rzeczach, które robi pański rząd”… Żeby zacytować wspomniany przez ciebie Kabaret Pod Egidą: lepiej nie będzie, ale będzie na pewno weselej.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 691a71369b